POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 20-go lutego 1943r.*** — **Rok V. Nr. 7**

DWIEŚCIE TYSIĘCY

Natura związała człowieka z ziemią. Kazała mu ją kochać, tęsknić za nią i za jej posiadanie umierać. Rolnik jest jakby najbardziej prawidłowym, najbliższym życzeniom natury stworzeniem ludzkim. Pracuje w ziemi, pielęgnuje ją, zbiera jej plony i jest jej za nie wdzięczny. Każdy inny, którego losy rzuciły na bruki miast, do wnętrz fabryk, sklepów, biur i magazynów jest od tej ziemi już bardziej odległy, mniej ją odczuwa i mniej rozumie.

Tym niemniej w momencie, gdy każą mu własne kąty, własne pola i lasy, własne miasta, fabryki i sklepy opuszczać, gdy nie wolno mu do nich wrócić i gdy tylko wspomnienie, tylko tęsknota i myśl może z powrotem bezkarnie ku znajomym stronom ulecieć — jest człowiekiem nieszczęśliwym. Jest on czymś na podobieństwo drzewka świątecznego, uciętego przy samym pniu, ustrojonego pięknie i stojącego prosto i zdawało by się, żywo, lecz skazanego na powolne uschnięcie. Brak mu korzeni, którymi dochodzą do organizmu żywotne soki. Brak mu soków własnej ziemi.

Nam ich często brak dzisiaj. Jesteśmy daleko, jesteśmy sami, jesteśmy odcięci od pnia naszego istnienia. Może dlatego trudno nam mieć pełne wyobrażenie o losie kraju. Chwilami zdaje się, że jest zbyteczne uzmysławiać straszliwą rzeczywistość ludziom /co prawda — na szczęście — nielicznym/, których zainteresowanie losami innych, których zainteresowanie losem nawet własnego ugoru, własnego pola, położonego daleko i nienamacalnego fizycznie — jest zatrważająco małe. Nie ma chyba celu przekonywać kogoś, kto twierdzi, że w Polsce nie jest wcale tak źle — o tym, że w Polsce już chyba nie może być gorzej. Natomiast jest celowe, jest koniecznością, obowiązkiem, mówić wszystkim innym o tym, jak tam jest naprawdę, wskazywać im, do czego wrócą i co będą musieli robić. A ponad wszystko kierować ich na drogę, którą jedynie, nie wiele, ale przynajmniej trochę, mogą pomóc tamtym w znoszeniu cierpień, w przetrwaniu więzień, poniżeń, bólu.

Tak jest. Dzisiaj, w tej chwili, w wojsku niemieckim znajduje się dwieście tysięcy rdzennych Polaków, zapisanych wbrew ich woli, bez ich wiedzy, na listy *Volksdeutsche*, a potem wezwanych do służby wojskowej. Ci Polacy, przeważnie młodzi chłopcy, dostali w ręce broń, po przejściu, lub nawet bez przeszkolenia, ci Polacy są na wszystkich frontach, rozrzuceni po kompaniach i plutonach rdzennie niemieckich. Polacy ci muszą walczyć przeciwko wojskom sowieckim, przeciwko Brytyjczykom, przeciwko Sprzymierzonym, przeciwko Polakom, przeciwko — nam.

Siłą zmuszeni, zagrożeni utratą życia własnego i pozostawionej rodziny, biją się. Strzelają, kiedy mogą, w powietrze. Nie zawsze jednak mogą. Poddają się chętnie, lecz gdy widzi go najbliższy feldfebel — Polak ginie. Tragizm wojny ostatniej, gdy brat strzelał do brata, powtarza się w stokroć zwiększonej mierze, gdyż walka tu nie tylko o naszą wolność, lecz o ideały ludzkości całej, walka dobrego ze złym.

Niemiecki mundur oblekający polskie ciało zabite kanadyjskim pociskiem pod Dieppe to obraz w swym tragizmie niedający się opisać. Bowiem Kanadyjczycy istotnie spotkali się tam z Polakami, bowiem strzelali wzajemnie do siebie, ginęli, a gdy powrócili potem do domów, do Kanady, nie wszyscy umieli wytłumaczyć sobie należycie to zjawisko, a wrogie nam czynniki chętnie rozpuszczały wieści, że przecież Polska znalazła zdrajców w swoich szeregach, że przecież zeszła do roli Rumunii, czy Węgier i na pomoc Rzeszy wysłała swoich synów . . .

A oni tam tymczasem krwawili się na plaży francuskiej i ostatnim dogasającym spojrzeniem patrzyli w kierunku Anglii, wyspy wolności, szczęścia i celu ich marzeń. Nie doszli do niej, nie doszli do nas. Zginęli mając w sercu obraz nasz wyidealizowany, święty, bardzo piękny. Wiedzieli, że przecież powiemy tym wszystkim innym, tym Kanadyjczykom, Szkotom, Amerykanom i wszystkim innym, dlaczego oni tam byli, dlaczego musieli być, powiemy, że oni także zginęli za Sprawę, że setki kul poszło w powietrze, że rozbrajali miny, że zamki karabinów maszynowych upuszczali w piasek, że nieodbezpieczone granaty rzucali przed siebie. Wiedzieli, że to zrobimy . . .

Tymczasem my . . . prawie, że nie wiedzieliśmy o tym! Tymczasem my często staramy się nie widzieć dalekich od nas, a jakże bliskich przez nieszczęścia spadające na głowy ich tam, w Kraju. Na Śląsku zabrano do wojska ponad sto tysięcy Polaków, na Pomorzu ponad siedemdziesiąt tysięcy. Przydziela się ich do oddziałów przeznaczonych do najbardziej niebezpiecznych zadań. Z reguły idą za nimi sztafety SS.

Tych sztafet nie widzą sprzymierzeni, gdy stwierdzają, że mają przeciwko sobie Polaków. Widzą tylko młode, młodziutkie twarze słowiańskie z niemieckimi karabinami przyłożonymi do oka. Widok tych twarzy prześladuje ich potem długo po powrocie do domu, gdy na ulicach swych miast widzą nasze twarze bliźniaczo podobne do tamtych. Nieskomplikowane umysły, nieuświadomieni ludzie nie rozumieją tego. Pytają się innych. Rzadko otrzymują prawdziwą odpowiedź.

Poza protestacyjną uchwałą Rady Narodowej z czerwca ub. roku nie zrobiliśmy niczego, aby sprawę poboru obywateli polskich do wojska niemieckiego należycie naświetlić, by o niej w ogóle powiedzieć, by krzyczeć wielkim głosem o jeszcze jednym nieposzanowaniu prawa międzynarodowego, nieprzestrzeganiu elementarnych zasad ludzkich, o jeszcze jednej krwawej ranie zadanej przez Niemców naszemu bezbronnemu dzisiaj narodowi. Gorzej jeszcze — w rozmowach ze Sprzymierzeńcami nie zawsze potrafimy przedstawiać im sprawy w należytym świetle. Brak nam argumentów, gdy rozmówca wytacza kolubrynę terenów etnograficznych, czy "poczucia przynależności państwowej." Nie umiemy, jakże często, rozwiać konkretnymi faktami, wątpliwości Brytyjczyków co do prawdziwego stanu w Polsce.

Ta sprawa w ostatnich tygodniach nabrała nowej ostrości i większych, nieobliczalnych rozmiarów.

Nie oglądając się na przepisy prawa międzynarodowego, przekreślając rzuconą ongiś przez Hitlera zasadę, że Generał-Gubernatorstwo ma być "ojcowizną" dla Polaków, Niemcy wysunęli teraz hasło zapisywania się Polaków na listę przynależności — do narodu niemieckiego. Cel jest jasny: znaleźć tanie mięso armatnie także z tego terenu okupacji, jakby nie wystarczyło już dokonanej potworności na dwustu tysiącach ludzi.

Dwieście tysięcy obywateli polskich wcielonych zostało do armii niemieckiej. Dwieście tysięcy — to dobrych kilka dywizji. Dwieście tysięcy — to co najmniej milion pozostawionych rodzin. Dwieście tysięcy — to o tyle więcej, aniżeli nas jest tutaj, o tyle więcej . . .

A ich przywiązanie do ziemi, ich miłość ojczyzny jest taka sama jak nasza, spotęgowana jeszcze tragizmem położenia. Dlatego trzeba im pomóc, a poprzez nich Krajowi, sobie samemu wreszcie. Nie czekać na głos oficjalnej propagandy. Wołać głośno, tak by głos przebił najbardziej stwardniałe serce, najbardziej odporną skorupę obojętności, o tym co tam się dzieje. Mówić im, tym naszym gospodarzom wszystkim bez wyjątku, począwszy od gospodyni szkockiej, skończywszy na dworze królewskim, że polscy szesnastoletni chłopcy zostali wcieleni do armii Rzeszy! Że idą za nimi sztafety! Że, gdyby Niemcy tu byli to może i John i Willie zamiast chodzić spokojnie do szkoły walczyli by dziś na froncie wschodnim ubrani w znienawidzony mundur! Że przed nimi i za nimi byłyby karabiny maszynowe, a ich rodzice żyć by musieli pod wieczną grozą śmierci.

Mówić im trzeba żywym, realnym głosem polskiego przyjaciela, do którego zdążyli nabrać już zaufania i któremu wierzą — to znaczy stokroć więcej niż martwe, drukowane słowo. To znaczy przecież najwięcej dla tego biedaka, którego ostatnie wejrzenie w naszym, brytyjskim kierunku pełne było wiary, że misję swoją spełnimy, że duszę jego czystą i polską ukażemy jego mimowolnym, nieświadomym zabójcom.

* * *

Jest wieczór i panuje cisza. Szkockie miasteczko pogrążone jest w swoich niedzielnych rozmyślaniach o Bogu i wieczności. Wzdłuż drogi stoją jednakowe małe domki. W jednym z nich siedzi młodzieniec w mundurze z naszywką "Poland" i poprzez czarny aksamit nocnego powietrza i poprzez zasłonięte okiennice słyszy rytmiczny, powolny, ciężki krok idącej ludzkiej gromady. Biją o bruk podbite gwoździami buty, zachrzęści czasem karabin. Nic więcej. Błyskawica rozświetla ich twarze szare, stare, oczy gorączkowe, niespokojne. Idą bez końca, długo, jednostajnie, jedni do drugich podobni, tak samo ubrani, tak samo myślący, tak samo czujący i wszyscy wpatrzeni gdzieś w stronę Zachodu, gdzieś, gdzie widzą wolność, gdzie widzą nadzieję, gdzie czują ziszczenie swych marzeń. Co oni za jedni? Dokąd idą? Ilu ich idzie . . . ? Naliczył ich dwieście tysięcy.

Jest znowu cicho. I bardzo smutno.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr

Druga nagroda
w konkursie na pracę graficzno-rysunkową

Godło: Lelum-Polelum — *Autor: Stefan Osiecki*



Szkic sytuacyjny

DWIE MOWY

Churchill i Roosevelt wygłosili mowy oddzielone od siebie odstępem jednego dnia. Churchill przemawiał w parlamencie, Roosevelt na dorocznym przyjęciu sprawozdawców prasowych w Białym Domu — przyjęciu, które odbywa się w dniu święta Lincolna, wielkiego prezydenta i wielkiego Amerykanina.

Obie mowy były prawdziwą ucztą dla ludzi, którzy znają wartość retoryki i słowa. Jak wspaniale obaj ci mówcy operują słowem! U Roosevelta wyrażenia biblijne — a Pismo święte jest dalej siłą wśród narodów anglosaskich i narzuca im ustawicznie swoje porównania i swoje zwroty — kojarzyły się żywo z nowoczesnymi wyrażeniami amerykańskimi. U Churchilla dostojna, wzorowana na historyku Macaulay'u rytmika zdań, zabarwiona była jemu tylko właściwymi zwrotami.

Ale mowy te były wielkimi mowami nie tylko przez swoją szatę zewnętrzną, przez bogactwo myśli — *były wielkie przez swoją wiarę w zwycięstwo:* wiarę opanowaną, wiarę dojrzałą, która nie wymachuje łatwymi obietnicami, ale *przedstawia jutro jako dobę wysiłku i trudu.* Mowy Churchilla i Roosevelta uzupełniały się: Churchill w swoim przeglądzie wojennym dał obraz pełny, ciekawy, zastanawiający, Roosevelt wybiegł w przyszłość i nakreślił moralną, by tak rzec, panoramę przyszłości.

W mowie Churchilla takie oto zdania zasługiwały na podkreślenie:

pomiędzy dowództwem amerykańskim i brytyjskim panuje pełna zgodność celów i zamierzeń,

sojusznicy nie ukrywają, że po uzyskaniu Tunisu przystąpią do zaatakowania kontynentu Europy,

okręty podwodne stanowią dalej "wieczne zmartwienie" sojuszników, ale nadwyżka żeglugi nad topionym tonażem zaczyna się zaznaczać i będzie rosła odtąd bez przerwy,

Turcja zostanie dozbrojona.

Roosevelt w swojej mowie nakreślił wizję przyszłości, *obraz świata, w którym panować musi przede wszystkim poczucie łączności między narodami i zmysł solidarności.* Izolacjonizm, wywodził prezydent Stanów, musiał się skończyć, albowiem nawet najbardziej ograniczeni widzą, że niemożliwością jest aby nawet najpotężniejsze narody żyły osobno. *Świat "stał się jednym wielkim sąsiedztwem"* — powiedział Roosevelt — połączony on jest wspólnotą doli. Dlatego musi on ze sobą współpracować. Swojego czasu Lincoln powiedział, że "*nie możemy uniknąć historii*" — *i dzisiaj Ameryka nie może uciec przed swoim losem,* który powiada jej, że *musi ona zająć odpowiednie stanowisko w świecie i wziąć na siebie odpowiedzialność za to wszystko, co się na świecie dzieje.*

Mowa Roosevelta, uzupełniona niejako mową podsekretarza stanu Sumner Wellesa, który podkreślił znaczenie solidarności narodów — jest wezwaniem do narodów świata, ażeby zrozumiały swoją wspólnotę doli. Wezwanie to dotyczy wszystkich krajów. *Winno ono znaleźć echo szczególnie w tych zespołach, które dalej jeszcze zbyt ciasno ujmują przyszłość swoich państw.* Przyszłość nas wszystkich, ludów Europy, zależy od zdolności współpracy — *żadne państwo europejskie nie potrafi utrzymać się po wojnie samo.* Mrzonki samowystarczalności upadły, marzenia mocarstwowe takiego czy innego państwa muszą okazać się zawodne.

Idzie epoka dużych obszarów — tak, jak była ona już kiedyś aktualna: w średniowieczu. Dlatego wśród nas musi się zakorzenić przekonanie o wspólnocie doli, musi się ugruntować świadomość, *że tylko w zespoleniu z narodami środkowo-wschodniej Europy możemy stworzyć te podstawy bytu i ładu, które mają szanse ostania się w trudnych czasach powojennych. Wszelkie małe spory sąsiedzkie, wszelkie porachunki między sąsiadami winny zniknąć z pola widzenia.*

Jutro wymagać będzie od odpowiedzialnych polityków zapomnienia o wielu urazach, o wielu potknięciach się przeszłości. Wiele sporów "o mur graniczny," jeżeli chodzi o kraje sąsiedzkie będzie musiało traktować się inaczej. Nie do pojęcia jest bowiem w dobie wielkiego obszaru i gospodarki planowanej na olbrzymią skalę trwać przy zabytkach doby, która spełniwszy swoją rolę musi ustąpić nowym wymaganiom.

GROZA PODWODNA

W prasie brytyjskiej rozważa się dalej sposoby obrony przed atakami okrętów podwodnych. Jest to dla sojuszników zagadnienie najpilniejsze. Utrata tonażu w ostatnich miesiącach była *mniejsza*, ale przypisać to należy w dużej mierze temu, że warunki działania na oceanach zwłaszcza na Atlantyku w czasie burz zimowych są szczególnie ciężkie.

Rzesza rzuci wszystkie swoje siły w walkę podwodną. Nominacja Doenitza, człowieka bez skrupułów, typowego pirata jest tutaj bardzo znamienna. Raeder, który kładł nacisk na flotę nawodną poszedł w odstawkę — Doenitz skupi przypuszczalnie wszelkie wysiłki tworzenia i budowania nowych jednostek na okrętach podwodnych.

Brytyjskie ataki lotnicze kierują się wyraźnie przeciwko ośrodkom, gdzie buduje się nowe okręty podwodne. Lorient, Hamburg — oto cele tego działania.

PRZERWA W TUNISIE

Armie brytyjskie weszły niejako na obszar generała Eisenhowera, którego mianowano kierownikiem całego śródziemnomorskiego teatru wojny. Generał Alexander i generał Montgomery są obecnie jego podkomendnymi. Z ochotą i humorem poddali się oni komendzie amerykańskiej. Eisenhower, na którego pewne, niezawsze odpowiedzialne odłamy prasy, dokonywały napadów, jest najwidoczniej przeznaczony na tego wodza, *który sięgnie po laury najazdu na kontynent.* Najwidoczniej posiada on plany i jeżeli tak, to stało się słusznie, że jemu oddano kierownictwo działań.

Słowa Churchilla i Roosevelta zakończyły chyba sprawę Francji. Okazuje się, że Giraud nie jest znowu takim "strasznym faszystą" jak to malowała radykalna lewica brytyjska, ani też de Gaulle nie jest tak znowu nieprzejednany: oto nadchodzi doniesienie, że jeden z bliskich jego ludzi stał się pomocnikiem Peyroutona.

Churchill i Roosevelt obrali właściwą drogę: cierpliwości. Zapewnili oni, że nie jest ich zamiarem — w co wierzył każdy rozsądny człowiek — paktować z Lavalami czy Quislingami, ale nie znaczy to jeszcze, ażeby trzeba było wywoływać zamęt przez dopuszczanie do władzy wszystkich polityków, którym tylko chodzi o sianie zamętu.

Cieszyć się należy, że znaleziono sposoby, że okazano dobrą wolę, aby uniknąć zamętu. Jest nadzieja, że podobnych sposobów będzie się trzymać Ameryka i W. Brytania w stosunku do innych krajów Europy.

FRONT WSCHODNI

Wojska sowieckie zagroziły dwu wielkim ośrodkom: Charkowowi i Rostowowi i drugi z tych ośrodków już zdobyły. Zdobycie Rostowa jest bardzo poważnym sukcesem armii czerwonej.

Na Kaukazie trzymają się jakieś siły niemieckie, chociaż położenie ich staje się coraz to bardziej trudne. Mają one na celu spełnienie zadania opóźniającego. Dowództwo niemieckie zabiega zarówno o skrócenie frontu, jak i o stworzenie linii obrony, któraby wytrzymała uderzenia sowieckie.

Źródła neutralne sugerują, że dowództwo niemieckie doszło znowu do głosu i że "intuicja" Hitlera ma mniejsze pole do popisu. Wydaje się, że Niemcy rzucili na front poważne rezerwy, niektóre zaczerpnięte nawet z południa Francji. Doniesienia szwajcarskie powiadają, że we Francji roi się od pułków bardzo słabej kategorii i że jest tam sporo żołnierzy obcych narodowości wcielonych do armii niemieckiej.

Pisma szwajcarskie piszą, że przerzucanie wojsk na front wschodni odbywa się w przyśpieszonym tempie. Źródła szwedzkie powiadają, że spora część rezerw przeznaczonych na wiosenną ofensywę znalazła się już w boju. Niemcy wzmocnili swoje załogi i tak n.p. Charkowa podobno broni cała armia.

POMOCNICY CHCIELIBY ODEJŚĆ . .

Poważne doniesienia powiadają, że pomocnicy Rzeszy chcieliby — iść do domu. Szwedzkie pisma zaznaczają, że Finlandia ma wielką ochotę na zawarcie odrębnego pokoju, ale nie wie jak to zrobić. Położenie Finlandii przedstawiał trafnie sztokholmski sprawozdawca "*Timesa*" z dnia 13-ego lutego w tym samym duchu, co pisma szedzkie.

Sprawozdawca dyplomatyczny "*Timesa*" z dnia 11-ego lutego przyniósł ciekawy wywód na temat starań węgierskich u Watykanu. Podobno prymas Węgier, który wygłosił niedawno bardzo śmiałą mowę przeciwko hitleryzmowi, zabiegał w Watykanie o pośrednictwo.

Rumunia nie czuje się najpewniej i sądzić należy, że również ogląda się za furtką wyjścia.

Co do Włoch, to umacniają się pogłoski, że jednak Ciano oraz Grandi nie byli najpewniejsi i że nosili się z różnymi zamiarami.

To rozpadanie się frontu t.zw. sojuszników Rzeszy jest bardzo znamienne. Teraz jest właśnie wielka sposobność dla aliantów, ażeby ten front rozbić zupełnie. *A dla polityki innych państw — starać się już dzisiaj pozyskać wahających się dla idei przyszłości, idei federacji wschodnio-europejskiej.*

Londyn, 15. lutego 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

7 lutego: Odbyła się uroczystość ofiarowania votum na ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej w kościele polskim w Londynie przez mechaników pracujących w polskich warsztatach stacji lotniczej w N.

—W Szkocji odbyło się uroczyste zaprzysiężenie żołnierzy ze szwadronu sztabowego, szwadronu regulacji ruchu i szwadronu łączności. Przysięgający składali się prawie wyłącznie z żołnierzy przybyłych z Rosji.

9 lutego: załoga polskiego dywizjonu Dowództwa Wybrzeża podczas patrolowania Zatoki Biskajskiej została zaatakowana przez cztery "Junkersy." Jeden z samolotów niemieckich został prawdopodobnie zestrzelony, a polski bombowiec wrócił cało do Anglii.

10 lutego: W dniu święta Marynarki Naczelny Wódz gen. Sikorski przemawiając przez radio powiedział: "Po drugiej wojnie światowej staniemy mocno i pewnie nad morzem, by zagwarantować Polsce nieodzowną a bezpośrednią łączność z całym światem."

Polska Marynarka Wojenna jest o 25% silniejsza, aniżeli była w momencie rozpoczęcia wojny. Stan jej jest następujący: 1 lekki krążownik, 7 kontrtorpedowców, 3 okręty podwodne, 3 ścigacze.

11 lutego: Churchill przemawiając w Izbie Gmin podał do wiadomości, iż naczelnym dowódcą w Północnej Afryce jest gen. Eisenhower, jego zastępcą gen. Alexander, dowódcą floty admirał Cunningham a lotnictwa marszałek Tedder.

12 lutego: W Warszawie ogłoszono o rozstrzelaniu 70 osób "za napady z bronią w ręku przeciwko Niemcom." Na Warszawę nałożono grzywnę 10,000,000 złotych.

—Armia Czerwona zdobyła Krasnodar, stolicę Kubania.

15 lutego: Podano do wiadomości zajęcie Rostowa i Woroszyłowgradu przez armię czerwoną.

Nowości lotnicze

Koła polityczne wszystkich państw alianckich są w tej chwili wysoce zainteresowane problemami lotniczymi, które zarysowują się łącznie z odbudową powojennej Europy. Niewątpliwie świat znalazł się na skutek rozwoju lotnictwa w podobnym punkcie zwrotnym, jak w okresie odkryć podróżników hiszpańskich i portugalskich, okresie pierwszych kroków polityki kolonialnej i komunikacyjnej Europy. Były to kroki nieorganizowane, zależne od przypadków. Geografia świata nie była jeszcze dostatecznie znana, by doniosłość spraw mogła być doceniana przez ówczesnych mężów stanu. Niemniej "era nowoczesna" datująca się od dnia odkrycia Ameryki była kolebką polityki mocarstwowej, polityki morskiej przyszłych potęg.

Wzrost i upadek państw stał się pomału skutkiem ich wpływów na morzach. Polska nie brała udziału w wyścigu o władzę nad szlakami oceanicznymi. Od morza odsunęła się sama, uprawiając politykę kontynentalną, zadawalając się jedynie kontrolą lądowych szlaków komunikacyjnych. Tymczasem te szlaki stały się zwolna niczym innym, jak tylko drogami wśród portów. Właściciele portów zaczęli walczyć o wolność dróg i dążyli do opanowania ich za wszelką cenę. Mając morza —byli bogatsi. Mając morza—byli silniejsi. Gdy jakieś drogi stawały się niewygodne, kierowali swe towary innymi. W Polsce naprzód zaczęły chylić się ku upadkowi miasta tranzytowe jak n.p. Lwów czy Wilno, wreszcie zaczęła się chylić ku upadkowi Rzeczpospolita. Odebranie Gdańska przez Prusaków było już tylko gwoździem do trumny.

W tej chwili możliwości tonażowe lotnicze, zasięg i szybkość samolotów, jak również i wzrastające bezpieczeństwo podróży powietrznej spowodowały, że powietrzne szlaki komunikacyjne są równie ważne, jak szlaki wodne. Porty lotnicze niebawem nabiorą znaczenia portów morskich. Na ostatniej konferencji przedsiębiorców transportowych Ameryki, w której wzięli udział również przedstawiciele rządu Stanów Zjednoczonych, wojska i marynarki podkreślono znaczenie transportów lotniczych w przyszłości, zaznaczając, że transport lotniczy nie wpłynie jednak na znaczenie transportu wodnego, czy kolejowego. Niemniej podkreślono, że wobec militarnego znaczenia lotnictwa w przyszłości każdy rodzaj transportu będzie przez lotnictwo kontrolowany.

Jest to jednoznaczne z tezą, że komunikacja morska i wyzyskanie szlaków komunikacyjnych zarówno lądowych jak i wodnych będzie tylko dostępne temu, kto będzie dostatecznie silny w powietrzu by je sobie ochronić i pełne bezpieczeństwo zapewnić.

Wchodzimy tedy w okres nowej ery świata, gdy dominujące będą szlaki lotnicze, a siła państwa będzie zależna od jego siły powietrznej, także, wtedy, gdyby przy zasadzie bezpieczeństwa zbiorowego sprawy bezpieczeństwa powietrza były załatwiane w drodze zbiorowej. Nawet przy najdoskonalszej organizacji zbiorowej nie zdoła się jednak wyeliminować ambicji narodowych i naturalnego dążenia do rywalizacji między poszczególnymi jednostkami państwowymi, czy jednostkami państw, jak kto woli.

Stajemy wobec tego u progu walki o szlaki powietrzne, walki, która przy dobrej woli może być prowadzona zupełnie bezkrwawo, walki, której bronią będzie inicjatywa i energia ekspansywna elementów konkurujących. Jak to słusznie podkreślił George Winnington w swym może nieco przykrótkim artykule w "Dzienniku Polskim" p.t. "Polska dworcem centralnym Europy" — Polska jest w takim położeniu geograficznym, że większość linii komunikacyjnych Europy, szczególnie te z zachodu na wschód i południowy wschód skrzyżują się na terenie Polski.

W przyszłym układzie politycznym Polska odegra tedy rolę nie byle jaką. Lecz czy ją odegra — będzie to w największej mierze zależne od samych Polaków, od dojrzałości polskiej myśli politycznej i umiejętności mężów stanu patrzenia daleko naprzód.

Takich dworców jak Polska na świecie będzie zaledwie parę, lecz żaden nie będzie tak bogaty w możliwości, koncentrujący na stosunkowo małym terenie tak wielkiej wiązki promieni komunikacyjnych. Przyszłość Polski leży rzeczywiście w powietrzu. Dlatego dziś, gdy problemy leżą w kolebce, już należy chwytać możliwości i plany na przyszłość układać.

Z uczuciem wielkiej ulgi należy powitać pogłoski o bliskim utworzeniu Rady Lotniczej przy Rządzie Polskim w Londynie. Zadania tej rady będą olbrzymie. Jedynym niebezpieczeństwem jakie jej grozi, będzie zaplątanie się w sprawy drobne, aktualne, na przyszłość nie mające specjalnego wpływu. Zły czar wszelkich personalii, niezdolność wyważenia istotnej prawdy pośród sprzecznych poglądów grup — oto te niebezpieczeństwa.

Nie możemy wyobrazić sobie, by całokształt zagadnień lotniczych przyszłości Polski, które wchodzą w sferę kompetencyjną wszystkich bez wyjątku ministerstw, mogło być załatwiane tylko przez jedno z nich. Dlatego Rada nie może być przy jakimś Ministerstwie — może być tylko przy Prezydium Rady Ministrów, jako organie uzgadniającym całokształt zagadnień polityki wewnętrznej, zewnętrznej wojskowej czy przemysłowej.

Powracając do niebezpieczeństw. Wydaje się nam, że istnieje jeszcze jedno i to kardynalne, wagą swą zaciemniające znaczenie innych: tym niebezpieczeństwem jest tak częste wśród Polaków pojęcie, że siła wyraża się jedynie siłą materialną. N.p. w konkretnym wypadku ilością samolotów lub ilością linii komunikacyjnych obsługiwanych przez jakieś państwo. Tak bynajmniej nie jest. Siła fizyczna jest dopiero wynikiem siły istotnej, dowody tego znajdujemy aż nazbyt liczne w historii polityki morskiej poszczególnych państw. Utrata siły morskiej przez Hiszpanów spowodowana została utratą punktów kontrolnych ruchu morskiego. Anglicy przejęli spadek po Hiszpanii dzięki posiadaniu takich właśnie kontrolnych baz, chociaż nawet po pokonaniu Wielkiej Armady dalej mieli flotę znacznie mniejszą ilościowo niż Hiszpania.

Tak samo rzecz się miała z Francją, która panowania nad morzami nigdy nie mogła uzyskać, posiadając ileż to razy potężniejszą od Anglii flotę — dla tego samego względu. Niemcy nie wysunęli się na czoło potęg morskich w okresie Hansy, gdyż mimo licznej floty nie wysuwali się za Bałtyk i Morze Północne. Wielka Brytania bez jednego okrętu może kontrolować Morze Śródziemne, mając Maltę, Gibraltar i Suez.

Znaczenie małej Holandii w świecie oparte było na posiadaniu kluczowych pozycyj na Oceanie Indyjskim.

Tak samo będzie z lotnictwem. Mimo na pozór nieograniczonego obszaru powietrza, panowanie będzie zależało od kontroli pewnych baz, na których zbiegają się linie komunikacyjne.

W możliwości takiej kontroli leży istotne rozwiązanie zagadnień. Pozycję kontrolną zdawna dał nam Pan Bóg, umieszczając Polaków w Polsce. Umiejętnością życia jest umiejętność mądrego wykorzystywania darów Bożych.

M. J. GORDON

Przyjaciel Polskich Sił Zbrojnych



Dnia 29 stycznia w St. James' Club odbyło się przyjęcie, wydane przez gen. Sir George Cory dla naczelnych osobistości wojskowych Państw Sprzymierzonych. Wziął w nim także udział Naczelny Wódz, gen. Sikorski.

Gen. Cory ustąpił ostatnio z zajmowanego dotychczas stanowiska Szefa Misji Łącznikowej w *War Office*, na którym oddał Polskim Siłom Zbrojnym niezwykle cenne usługi.

Stanowisko to objął po nim generał dyw. A. E. Grasett.

* * *

Obok reprodukcja fotografii gen. Cory, ofiarowanej Ministrowi Obrony Narodowej, gen. dyw. Kukielowi, z którym wybitny wojskowy angielski blisko współpracował na terenie I Korpusu.

Fotografia zawiera następującą dedykację:

To General Marian Kukiel to remind you of the 2½ years when we worked together for the valiant Polish Army and the Allied Cause—with my sincere regard.

George Cory, Lt.-Gen.

January, 1943.

Armia Czerwona i potencjał wojenny Z.S.R.R.

Dnia 23 lutego b.r. święci armia Z.S.R.R. dwudziestopięciolecie swego istnienia. Obchodzi go w pełnym blasku szczęścia żołnierskiego i powodzenia swej ofensywy przeciwko niemieckiemu najeźdźcy. Nie od rzeczy będzie zdać sobie w tym momencie sprawę z potencjału wojennego Z.S.R.R. i z tych czynników natury materialnej i moralnej, które leżą u podstaw tych powodzeń sowieckiego żołnierza.

Z.S.R.R. bez wątpienia jest najlepiej pilnującym swych tajemnic krajem na świecie. Jest to jedna z przyczyn, dla których świat wciąż "odkrywa" Z.S.R.R., a Z.S.R.R. nieustannie sprawia światu niespodzianki, wywracając wszelkie kalkulacje i nadzieje, zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Dlatego, chociaż w nieco zmienionym sensie, Z.S.R.R. pozostaje dla świata wciąż tą samą Rosją — "krajem nieograniczonych możliwości."

Jeżeli więc o potencjale wojennym Z.S.R.R. wrogowie Związku Sowieckiego wiedzieli i wiedzą tyle samo, co jego obecni sojusznicy — to trudno się dziwić błędowi w ocenie sił Z.S.R.R. popełnionemu przez Hitlera, błędowi, który być może zaważy na przyszłej historii świata w sposób nieporównanie silniejszy, niż błąd Napoleona, popełniony w niemal tych samych warunkach, przy przeprowadzaniu równie ambitnych planów, jak "nowy porządek" Hitlera.

Przemówienia wygłaszane dla żałobnych słuchaczy w Niemczech przez przywódców niemieckich z powodu pierwszej, katastrofalnej porażki w tej wojnie — pod Stalingradem — zawierają niezmiennie przyznanie się, że Niemcy nie docenili Z.S.R.R. jako przeciwnika. Mówią po prostu: "nie przypuszczaliśmy, że Z.S.R.R. może mieć tyle jeszcze ludzi, czołgów, artylerii, samolotów, tyle dobrych dowódców, tyle zdolności organizacyjnych, tyle wytrwałości, tyle bezwzględności w prowadzeniu wojny." Niemieccy, właśnie niemieccy przewódcy stawiają dzisiaj swojemu społeczeństwu *za wzór do naśladowania totalność wysiłku wojennego Z.S.R.R.*

Powiedzmy też otwarcie: nie tylko niemieckie kierownictwo zostało zaskoczone obrotem rzeczy na wschodnim froncie. Również opinia w krajach alianckich nie oczekiwała tak wielkich sukcesów armii czerwonej, które nastąpiły niemal bezpośrednio po ofensywie niemieckiej, gdy armie niemieckie stały już nad dolną Wołgą, Terekiem i pod Elbrusem.

Tak więc, potencjał wojenny Z.S.R.R. powszechnie nie był doceniany. Jedni go po prostu nie umieli obliczyć, inni nie chcieli wierzyć nawet cyfrom. Trzeba więc było "niespodziewanych" sukcesów armii sowieckiej w zimie 1942/43 roku, aby wszyscy i wrogowie i przyjaciele nagle zaczęli sobie zdawać sprawę że sowieckie siły zbrojne od lata 1941 r. nie tylko zatrzymywały i wykrwawiały na wschodzie 2/3 całości sił niemieckich — kosztem oddawania najludniejszych i najlepiej zagospodarowanych obszarów Z.S.R.R. — ale że w końcu armia sowiecka potrafi również oddane obszary odbierać z niemniejszą szybkością, zadając przytem potędze niemieckiej straty nie do powetowania — w ludziach, materiale, prestiżu i moralu żołnierza i dowódcy.

Sądzimy, że jest to dobra i pilna okazja do namysłu i zrewidowania poglądów na obecny potencjał wojenny Z.S.R.R. Dla nas jako sąsiadów jest to zagadnienie oczywiście ważne, tak samo jak istotny jest fakt, że od 20 miesięcy armia niemiecka główne swoje zmagania prowadzi w ogromnej części na wschodzie. Nie stać nas tutaj oczywiście na wyczerpujące rozważenie całego potencjału wojennego Z.S.R.R., nie stać nas nawet na szczegółowe omówienie jego głównego składnika — armii czerwonej. Na to potrzebaby grubego tomu i znacznie więcej danych faktycznych, niż mamy. Ograniczyć się musimy do przedstawienia kilku elementów, które, wydaje się nam, najlepiej charakteryzują potencjał wojenny Z.S.R.R., a które są zarazem może najmniej sporne.

* * *

Do tej chwili myśl wojskowa nie zdecydowała się ostatecznie, co jest w wojnie ważniejsze: człowiek czy maszyna, siła czy manewr, jakość czy liczba. Pewne jest, jeżeli chodzi o armię czerwoną, że wszystkie te składniki potencjału wojennego zostały rozwinięte w pełnej mierze.

Liczby określające potencjał wojenny Z.S.R.R. są naprawdę olbrzymie. Trudno zresztą temu się dziwić: Z.S.R.R. obejmuje 1/6 powierzchni całego lądu, a liczba ludności zbliżała się do 200 milionów. W oparciu o takie podstawy można myśleć o rzeczywiście wielkiej armii. Nie ma oczywiście autentycznych danych o ilości wielkich jednostek jakie posiada obecnie armia czerwona. Specjaliści alianccy nie operują jednak cyfrą mniejszą, jak 500 W.J. lądowych i blisko 200 dywizyj lotniczych. Dwie te cyfry dają ogólne pojęcie, z jakim rzędem liczb trzeba mieć do czynienia przy obliczaniu potencjału wojennego Z.S.R.R.

Ogrom obszaru Z.S.R.R., stwarza szczególnie korzystne warunki operacyjne dla broniącej go armii, a niezwykle trudne dla atakującej. Dywizje, czołgi i samoloty Hitlera po prostu pogubiły się w bezkresach Z.S.R.R. Oczywiście dowództwo niemieckie mogło wybrać zawsze na wielkiej przestrzeni Sowietów jakieś t.zw. ważne "cele do osiągnięcia," a potem zgromadzić siły na kierunku tych celów. Czasami te cele osiągano /Ukraina, Wołga/, w większości jednak nie /Moskwa, Leningrad, nafta kaukaska, Murmańsk/. Zawsze to kosztowało drogo i stale powtarzało się, że osiągnięcie postawionych celów jeszcze o niczym nie decydowało: nie powodowało upadku przeciwnika, nie przynosiło końca wojny.

Na przestrzeni Związku Sowieckiego nie można było uzyskać efektów wojny totalnej, takich, jakie osiągano w kampaniach w Polsce, w Holandii, w Belgii, we Francji, czy nawet na Bałkanach. Skala przestrzeni rosyjskiej jest inna; skala ta jest tego rzędu, że najbardziej nowoczesna i szybka armia dotąd jeszcze nie posiada środków potrzebnych do jej opanowania. Nie słyszeliśmy n.p. dotąd, aby bombowce niemieckie dotarły kiedykolwiek do wielkich ośrodków przemysłowych na Uralu, a ośrodki takie i to wcale poważne znajdują się też znacznie dalej jeszcze na wschodzie.

Nie twierdząc, że czynnik przestrzeni był jedynie decydujący w dotychczasowej kampanii niemieckiej na wschodzie, przyznać musimy, że odegrał on wielką rolę, dając czerwonej armii tak potrzebny czas na przetrwanie niepowodzeń i odwrotów i na rozwinięcie olbrzymich możliwości mobilizacyjnych Z.S.R.R. w najszerszym tego określenia pojęciu.

Przestrzeń była i zostanie chyba na zawsze jednym z podstawowych elementów planowania wojennego. Okazuje się jednak, że mapy nie dały dowództwu niemieckiemu dostatecznego pojęcia o przestrzeni Związku Sowieckiego; dowiedziało się ono o jej znaczeniu dopiero w stepach nadwołżańskich i pod grzbietami Kaukazu.

Oczywiście, będąc ważkim czynnikiem potencjału wojennego, przestrzeń łącznie z jej trudnymi warunkami klimatycznymi, rzadkością sieci komunikacyjnej i osiedli, była mimo wszystko tylko siłą bierną; w oparciu jednak o nią działała i działa z coraz większym napięciem zorganizowana i kierowana energia ruchowa wielomilionowej ludności Związku.

Dużo jest przyczyn, dla których pełne uruchomienie wszystkich rezerw Związku Sowieckiego, rezerw ludzi i przemysłu wymagało dużego stosunkowo czasu. Nie ma tu miejsca na omówienie tego obszernego zagadnienia, które zdecydowało o takim, a nie innym dotychczasowym przebiegu wojny niemiecko-sowieckiej. Zawcześnie jest też na wojskowe roztrząsanie kampanii na wschodzie, za mało mamy na to materiałów. Nie znamy też bliżej i nie mamy możności obserwacji czerwonej armii. Sądzić o niej możemy tylko, śledząc na mapie kolejne uporczywe obrony kilku miast, cofania się w lecie, powroty w zimie . . .

Trudno jednak nie nabrać przeświadczenia o wzrastającej sile armii czerwonej. Oczywiście siła jest pojęciem względnym; sukcesy armii czerwonej oznaczają nie tylko wzrost potencjału wojennego sowieckiego, ale i obniżenie tego potencjału u Niemców. Kierownictwo sowieckie słusznie zakładało, że zanim nie uruchomi wszystkich rezerw Związku Sowieckiego, nie pozostaje nic innego, jak tylko dążyć do zużywania sił przeciwnika. Armia czerwona niszczyła przeciwnika przez pozornie bezsensowne, uporczywe, kilkumiesięczne walki w obronie gruzów miast, otoczonych i nie mających już znaczenia operacyjnego, jak Odessa, Kijów, Leningrad, Sewastopol czy nawet Stalingrad. Tu właśnie armia niemiecka traciła za każdym razem setki tysięcy najlepszych żołnierzy, swoje najlepsze dywizje, swoje czołgi i samoloty.

W rezultacie dzisiaj Niemcy na wschodzie są względnie słabsi, niż w chwili, gdy rozpoczynali kampanię sowiecką. Tymczasem Związek Sowiecki, pomimo wszystkich olbrzymich trudności wynikających z głębokiego wycofania się armii na wschód, zdołał przeprowadzić mobilizację swoich rezerw i w obecnej chwili rozporządza zdecydowaną przewagą w ilości jednostek i sprzętu. Przewaga ta trudna jest do obliczenia w cyfrach; bez obawy popełnienia jakiegolwiek błędu możemy określić ją minimalnie na dwukrotną.

Dotychczas poświęciliśmy nasze rozważania głównie zagadnieniu *ilości*, jako składnika potencjału wojennego Z.S.R.R. O wiele bardziej trudne jest naświetlenie jakości, wchodzą tu bowiem w grę wartości tak złożone, jak kierownictwo, technika i moral.

Nie ma żadnej wątpliwości, że armia czerwona jest armią całkowicie nowoczesną, jeżeli chodzi o jej kierunek organizacyjny i miejsce techniki. Jest ona zarazem całkowicie sowiecka, rosyjska, niepodobna to żadnej innej, jeżeli mowa o jej doktrynie, tradycji, jej obliczu duchowym.

Od początku armia sowiecka zajmuje w państwie takie stanowisko i gra taką rolę w jego polityce i ustroju, że ma do rozporządzenia praktycznie wszystkie środki materialne i moralne, jakimi tylko kraj rozporządza. Nie wydaje się, aby w jakimkolwiek innym państwie na świecie, nawet w czasie wojny, nawet w czasie największego zagrożenia, możliwy był tak totalny wysiłek wojenny, takie skoncentrowanie energii na jeden cel: pobicie nieprzyjaciela. Nie było to możliwe nawet w Niemczech, które — jak wiemy — dopiero obecnie chcą pójść w ślady Z.S.R.R. Taka pozycja wojska, rzecz jasna, daje mu nieograniczone możliwości rozwojowe.

Armia sowiecka, jak całe państwo sowieckie, jest wciąż młoda, wciąż szukająca dróg, giętka, umiejąca uczyć się i korzystać z doświadczeń swoich i cudzych.

Zagadnienie wyższych dowódców, tak istotnie wpływające na wydajność armii w polu, zostało rozwiązane bardzo radykalnie: dobry jest ten, kto uzyskuje dobre wyniki. Nic nie znaczą dawne zasługi, długie doświadczenie, wiek, starszeństwo. Ludzie wybijają się na polu bitwy bardzo szybko; ale równie szybko usuwa się ich, gdy przestaną odpowiadać aktualnym wymaganiom. W dziedzinie dowodzenia, a zwłaszcza przygotowania wielkich operacyj, zastosowano całkowicie nowe pomysły, jak n.p. delegowanie na miejsce przedstawicieli naczelnego dowództwa. Zdaje się przynosi to dobre rezultaty, jeżeli chodzi o kierowanie operacjami na tak rozległym froncie.

Śmiałość inicjatywy, współzawodnictwo, nowe pomysły techniczne i taktyczne są celowo popierane i rozwijane na wszystkich szczeblach. Zwalcza się rutynę i schematyzm, o które tak łatwo w wojsku a które były podstawą wielu starych armii, w tym przede wszystkim starej armii carskiej.

W związku z powszechnym uprzemysłowieniem kraju armia pozyskała młody i twórczy narybek konstruktorski w dziedzinie uzbrojenia i lotnictwa. Dzięki temu już w trakcie wojny armia wprowadzić mogła dużo nowego sprzętu, niekiedy o niespodziewanych możliwościach, n.p. w dziedzinie artylerii.

Chociaż początkowo zasady dowodzenia i dyscypliny w armii sowieckiej znacznie odbiegały od przyjętych w innych armiach, to obecnie, przypuszczalnie na podstawie doświadczeń, wyposażono dowódców w podobne lub nawet większe jeszcze uprawnienia.

* * *

Na skutek niszczących operacyj wojennych prowadzonych od 20 miesięcy wyłącznie na własnym terytorium, na skutek głębokiego odwrotu armii czerwonej i utraty na rzecz nieprzyjaciela najżyzniejszych i najbardziej uprzemysłowionych części kraju, wreszcie wskutek powołania do wojska kolosalnej masy ludzi — gospodarka sowiecka znalazła się w niezwykle trudnych warunkach. Trzeba oddać tutaj należne kierownictwu sowieckiemu, że mimo tych trudności jest wciąż w stanie dawać frontowi wszystko, co mu jest potrzebne i w coraz większych ilościach.

Nie byłoby to możliwe, gdyby nie zażądano bezprzykładnych ofiar i wysiłku od całego kraju i gdyby tego wysiłku faktycznie nie otrzymano. Nie byłoby to możliwe również, gdyby nie istniało silne i daleko przewidujące kierownictwo, które nie tylko potrafi planować, ale i doprowadzić do wykonania planu mimo piętrzących się trudności. W potencjale wojennym Z.S.R.R. kierownictwo jest czynnikiem któremu należy się największy współczynnik.

W armii kierownictwo to dysponuje szeregiem młodych zdolnych ambitnych, ujawniających duże talenty dowódców. Słyszymy również o tężyźnie młodych wychowanków sowieckiego korpusu oficerskiego.

Przede wszystkim jednak sam żołnierz Z.S.R.R. — Czy nie widzimy pewnej zmiany w jego wartości?

Dotychczas na przestrzeni stuleci żołnierz rosyjski znanym był zawsze ze swych zalet osobistej bitności, wytrzymałości na trudy i z wytrwałości zwłaszcza w walkach obronnych. Znaliśmy go jako masę twardą, nieustępliwą, kładącą się nieraz pokotem na polach bitew bez ustąpienia kroku i nie dziwiliśmy się trudnościom, jakie mieli niegdyś Fryderyk i Napoleon, a ostatnio miał Hitler z przełamywaniem oporu tego żołnierza.

Obecnie jednak jesteśmy świadkami innego zjawiska. Ruchliwość, giętkość, zręczność Czerwonej Armii w obronie, wywierająca tak potężne wrażenie na Niemcach, błyskawiczność i energia przeciwnatarć pod Moskwą, Leningradem i Stalingradem, a ostatnio rozmach i prężność ofensywy rosyjskiej każą przypuszczać, że musiało coś narosnąć w wartościach żołnierza sowieckiego. Do swych tradycyjnych cech, musiał on dodać umiejętność prowadzenia walk w małych zgrupowaniach, zrozumienie swej własnej, osobistej roli w boju, samodzielność i zaczepność. Te nowe wartości żołnierza rosyjskiego są niezmiernie ważnym czynnikiem tężyzny Armii Sowieckiej i ostatnich powodzeń Z.S.R.R.

Wszystkie te momenty, z których musimy sobie dokładnie zdać sprawę, wynikają z poczucia narodu i wojska, że Rosja walczy na własnej ziemi i w jej obronie. Ta świadomość leży, zdaje się, u podstawy energicznego i skutecznego kierownictwa, ofiarności młodych dowódców, rozpędu i impetu żołnierza sowieckiego i stanowi najmocniejszą podbudowę pod potencjał wojenny Z.S.R.R.

I właśnie to — obronę własnej ziemi przed najeźdźcą — najlepiej rozumie i najwięcej ceni żołnierz polski, który od wieków broni niepodległości swego kraju i jego granic.

BRONISŁAW NOWICKI

Oddział narciarski Armii Czerwonej pod Moskwą, zdążający na stanowisko bojowe



Z kampanii francuskiej: W DYMACH NAMURU

Wyciągają mnie ze spania na zabój, ze spania śmiertelnie głębokiego — jak ślimaka ze skorupy. Cztery godziny snu, poprzedniej doby również cztery, a dwie doby temu — trzy. To usprawiedliwia chęć sprzedania duszy za sen. Nerwy drą się, szarpią, wrzeszczą z całej rozpaczy. W oknach mokre przebłyski świtania. Zapotniałe, matowe szyby dopiero błękitnieją chorowitym przebłyskiem dnia będącego gdzieś strasznie daleko za siódmą górą, za siódmą rzeką.

Zimno. Ciałem trzęsie dreszcz. Naciągam w półśnie koszulę i sweter. Za ścianą domu ludzie hałasują nieochoczo, jak przekrzykujące się przede dniem ptaki. Tułają się jakieś głosy, majaczą się jakieś kroki. Kilka przygarści wody chlupniętej na twarz imituje mycie się. Lustro odbija słabo jak przez zakopconą szybę niekształtną, niemrawą gębę bez rysów i życia, twarz-koszmar o nabrzmiałych, niewyspanych oczach, nadętych policzkach i wargach, zmierzwionej czuprynie.

Wynurzam się z domu w chłód, siny, zielonawy chłód odległego świtu. Skórzana kurtka na ciele blefuje ogrzewanie; właściwie jest gorzej niż w tęgi, suchy mróz, gdy ciało jest przygotowane do walki z nim. W marzeniach zamajaczyło od razu wyspanie, wypoczęcie, gimnastyka, chłodny prysznic, gorąca herbata. Pomyślałem jak bardzo wszystko to, co myślimy o świecie jest zależne od naszych doznań subiektywnych. Niech bym wszedł w ten poranek z ciałem wypoczętym i już pracującym pełną parą, z ciałem gorącym od kipiącej krwi. Pisał bym wtedy: "Matowe srebro rosy witało chłodem rześkim i zdrowym, który zapala w ciele iskry energii. Bladawe zorze świtania, nie zgwałcone jeszcze ostrością promieni dobrze nastrajały umysł do skupienia się przed dniem. Piały koguty, ich głosy biegły jak sygnały życia, które już idzie mocnym krokiem do przebudzenia, które trzeba chwytać i brać pełną piersią w siebie."

Trzęsąc się na ciężarówce wyobrażam sobie ten entuzjazm życia, który jako niebyły jest w tej chwili dla mnie głupi i śmieszny. Jest on taki, jak dla cynika uniesienia młodości. Mój realny nastrój obecny to jest jakaś bezcelowość, bezosobowość i konieczność. Matowe srebro rosy promieniuje zdradliwą, chorobliwą wilgocią. Słabe zorze świtania pogrążają świat w upiorne, wodniste światło, a piejące koguty szydzą z głupich ludzi, głupszej od nich wojny i najgłupszego życia.

Jedziemy na odległe o kilka kilometrów lądowisko, by stamtąd wystartować nad front. Lotnisko zasadnicze jest niedaleko, lecz ponieważ dziesiątego maja Niemcy pokazali jak należy bombardować, wykazując również, jak nie należy rozstawiać samolotów na lotnisku, rozprowadzamy teraz od kilku dni nasze maszyny w pola.

Patrzę na towarzyszy wyprawy i to pogłębia mój niesmak w stosunku do siebie samego. Prawdopodobnie wyglądam gorzej od nich, a oni . . . Trzeba wyobrazić sobie kota, którego w śnie oblano wodą. Nosy im się dziwnie powydłużały, a sierżantowi Bukłaszce, który jest drugim obok mnie Polakiem w tym gronie, wisi pod nosem duża kropla wilgoci. Bukłaszko wygląda jak bocian. Prąd powietrza rwie lodowatymi strugami po bokach mknącego samochodu. Ponaciskaliśmy berety na uszy, nastawiliśmy kołnierze kurtek; niektórzy zamykają oczy jakby w nadziei, że przez to osłabią bolącą rzeczywistość.

Ze mną ma lecieć Bukłaszko i sierżant Le Court. Prowadzę klucz. Mamy startować w dziewięć maszyn nad Belgię. Leci również paru oficerów francuskich, ale całość poprowadzi sierżant, który mieszkał dłuższy czas w Belgii i dużo nad nią latał. Przybył do dyonu niedawno; ma jakieś dziwne, nie do zapamiętania nazwisko.

Ciężarówka nie dojeżdża do maszyn; brniemy przez wysokie łubiny i koniczynę. Nogi od kolan w dół — woda.

—Cholera — mówi Bukłaszko — Żeby psiekrwie dali choć durny kubek gorącej kawy. A nasze maszyny to zataszczyli aż tam.

Rzeczywiście, tu gdzie była moja ósemka, jest dwójka Bardina. Już gramoli się do niej i wyczynia coś z pasami siedzeniowymi. Do słońca jeszcze ciągle daleko, ale skowronki dzwonią tak zapalczywie i pracowicie, jakby miały w tym niesłychanie doniosły cel. Myślę, że może nawet mają, ale niemożność odcyfrowania tego dziwnie mnie denerwuje. Bo jeżeli skowronki mają cel, to który cel jest bardziej bliski prawdy, nasz ludzki, czy ich ptasi? A jeżeli to robią bez celu, to kto mi udowodni, że my ludzie mamy również jakiś cel poza atawistycznymi nakazami. Może to te nakazy przetransformowane na perfidną i wielowymiarową przestrzeń cywilizacji obałamucają nas prawdami, z których każda jest bańką mydlaną.

Takie myśli zawracają mi teraz głowę. Teraz, gdy mam za chwilę lecieć. Co za głupstwa! Łubiny na szczęście się skończyły. Gdyby ciągnęły się jeszcze dłużej, umysł wysnułby zaraz coś niemądrego na ich kanwie. Zazdroszczę Bukłaszce — przyjmuje świat jako lamus z rzeczami dobrymi i ujemnymi. To nie męczy i jest cudownie młodzieńcze. Skowronki śpiewające zauważył również:

—Rzępolą, jakby im kto za to płacił — mruknął. Po chwili jednak zmarkotniał i dodał łagodniej:

— Jak w Polsce, całkiem jak w Polsce.

Dochodzimy do swoich gratów. Szeroko podwoziowe "Morany" jak ciężkie, otyłe szczupaki powpierały się kołami w ziemię. Porównanie naciągnięte. Otyłego szczupaka nie widziałem, ale wyobrażam sobie patrząc na "Morana." Za nami gdzieś o kawał przestrzeni po rosie już krzyknął jeden i drugi silnik. Błękitne dymy długimi kitami poszły po zieloności.

Włażę w pasy spadochronowe. Myśli przestają dokuczać długim logicznym łańcuchem; stają się szybsze i oderwane. Dziś jest czternastego maja. Te dolne pasy w spadochronie są stanowczo za długie; miałem je skrócić wczoraj i znowu zapomniałem. A z tej wody w butach będzie katar.

Mechanik, chorąży Makusiński zapuszcza silnik. Jakto dobrze mieć polskich mechaników. Siada się do kabiny, jak do salonu. Wszystko błyszczy i lśni się; nie ma mowy, by źdźbełko śmiecia wylęgało się niepokojone w zakamarkach armatury. Zupełnie inaczej niż na maszynach Francuzów. Tam, gdy się zatrzyma samolot na plecach, wór rupieci bucha w oczy. Dlatego każdy samolot obsługiwany przez Francuza należy przed użyciem przedmuchać. Idzie się, przypuśćmy, na dwa tysiące metrów i na pełnym gazie z otwartą kabiną zjeżdża się w kilku sekundach do tysiąca. W tym krótkim czasie obserwuje się ciekawe zjawisko. Strumień śrubek, gumowych złącz, sznurków, grud błota przelatuje koło człowieka wiszącego na pasach, jak z gardzieli śmietnika. Raz jakiś klucz do odkręcania śrub wyrżnął mię w brodę. Dwa dni potem bolało.

Makusiński nie zapuszcza silnika, lecz celebruje jego narodziny do pracy. Wystarczy popatrzeć na jego twarz czujną, lecz spokojną. Od razu się wie, że silnik takiego mechanika będzie posłuszny, jak dziecko.

W kabinie sprawdzam światła kolimatora. Chcę, by mi usunięto trochę rosy z szyby. Pasy przypięte mocno, tak jak lubię. Makusiński zbadał już poprzednio magneta; jego uszy teraz chwytają głos pracy na dużych obrotach. Twarz wyraża przyzwolenie i zaufanie. To oddziaływuje na pilota lepiej, niż długa gadanina. Zanim podniesie się temperatura oliwy mam trochę czasu. Dobrze jest wykorzystać go poświęcając mapie.

Mamy lecieć w okolice Namur. Kurs 84°. Front był wczoraj gdzieś pomiędzy Liège a Namur. Gdy naciskałem wieczorem oficera informacyjnego, by podał dokładniej, zrobił bolesną minę. Chciał bezwątpienia pomóc, lecz nie mógł:

—Wszystko co wiemy to, że biją się gdzieś na zachód od Namur. Możliwe, że jutro rano będzie już walka o samo miasto. Ale to są oczywiście tylko moje przypuszczenia.

Liège . . . Namur . . . Labirynt kolei, szos i kanałów. Wykluczone żeby ktoś dał temu radę przez czytanie mapy. Kurs powrotny 266°. Ba! ale jeżeli pójdziemy w bok? Czy się orientować bardziej na południe czy na północ? Które partie terenu są bardziej charakterystyczne? Już myślałem o tym wczoraj, ale umysł był zmęczony i nie chciał pracować. Myślałem, że rankiem pójdzie lepiej. Poszło gorzej. Dojrzałem trudności, których przedtem nie było.

Bukłaszko daje znak ręką, że jest gotów. Le Court tak samo. Pierwszy klucz wyrolowuje, bruździąc za sobą podmuchem młode zboża i trawy. Słońce jest jeszcze gdzieś bardzo daleko, ale blask świtania rośnie w oczach. Nad nami czysty błękit, lecz na wschodzie tam gdzie mamy lecieć, leżą chmury.

Przewodnik ze swoim kluczem daje gaz. Wyciągają się, pełzną przywarłe brzuchami do ziemi. Nabrały oddechu. Prują teraz nosami powietrze, węszą za oporem. Runęły jak pociski w dół z małego pagórka. Werżnęły się w powietrze. Zostały w nim. Chowają podwozia, śmigają ponad ziemią, jak obłe kamienie, rzucone silnym ramieniem na początku swego lotu.

Drugi klucz idzie na piętach pierwszego. Teraz moja kolej. Lekceważę wiatr, bo jest niemowlęco słaby. Makusiński z resztą swojej brygady salutuje. Trawy uciekają pod skrzydłami. Zaczynają płynąć. Rosa z pod śmigła bije na wiatrochron. Zamgliło go zupełnie.

Przewodnik z pierwszym kluczem odleciał daleko na południe. Nie rozumiem dlaczego tak daleko. Wystartowałem na wschód. Gdy zrobi wiraż w lewo powinien mnie od razu zobaczyć. Robi wiraż. Wiem, że musi mnie widzieć. Przechodzę na ogon za klucz drugi. Możemy lecieć.

Lecz zamiast przyjmować kurs na wschód, robimy okrążenie nad lotniskiem. Jest to zwyczaj stosowany podczas lotów ćwiczebnych, w obecnej chwili zupełnie niepotrzebny. Po jednym okrążeniu przychodzi drugie. Co u licha! Zaczynam rozumieć. Prowadzący przegapił klucz porucznika Leblanca, który idzie za jego kluczem jak cień, mój klucz przyjął za klucz drugi i czeka teraz na mój start. Możemy tak czekać do dnia sądnego.

—Hej, Leblanc — myślę — wyjdź bracie na zewnątrz, bo ten bęcwał ciebie inaczej nie zobaczy. Widocznie jednak Leblanc nie rozumie o co chodzi i idzie dalej na piętach pierwszego klucza. Krążymy jak ostatni głupcy poraz chyba piąty. Osiem minut. Zaczynam się denerwować. Jak można tak głupio kraść czas i benzynę.

—Hej, policz no, ślepa wrono, samoloty na ziemi. Było ich razem dwadzieścia, teraz jest jedenaście. Może policzył w końcu, może zobaczył klucz Leblanca w lusterku, bo nagle zamachał z radości skrzydłami i wszedł na kurs. Było to jednak w dziesiątej minucie od startu.

Kląłem w czambuł jego spostrzegawczość i spryt. To od razu podcina zaufanie. Bezkrytycyzm jaki powinien być w stosunku do przewodnika diabli wzięli. Już nie pójdę za nim na ślepo w dym i mgłę. Już moje zmysły są nastawione do polegania wyłącznie na sobie.

Na ziemi tu i ówdzie w kotlinach, nad łąkami, lub w pobliżu rzek przyziemne mgły. Wygląda to tak, jakby ktoś ponarzucał plamy z płowego i srebrnego atłasu na dywan o prostokątnej, poprzecinanej gęsto liniami, mozaice. W miarę jak posuwamy się w kierunku naszego celu czyni się coraz ciemniej, tak jakby się wchodziło z zarośli do gęstego lasu. Plamy atłasu na dole coraz gęstsze zlewają się w skupiska, rozlewają coraz szerzej. Mozaika już zginęła. Ziemia przegląda przez rozlewisko mgieł wysepkami-złudzeniami. W górze ponad nami wysokie barankowate chmury.

Lecimy w szyku dość luźnym. Wysokość 300 metrów. Przewodnik ze swoim kluczem w dole. Leblanc wyżej po lewej, mój klucz najwyższy po prawej. Maszyny płyną jak we śnie; nie ma najmniejszych zaburzeń. Można ster puścić zupełnie. Po czasie orientuję się, że zbliżamy się do granicy belgijskiej.



Eskadra "Montpellier" przed odejściem na front—Lyon 26 marca 1940

Mgły przyziemne ustępują, lecz widoczność się pogarsza. To co ściele się pod nami w dole jest chropowatą skórą, zbrużdżoną i zmiętą. Na tym pooranym, skopanym igrzysku włóczą się dymy. Chmury górne schodzą coraz niżej; dotykamy prawie grzbietami ich pułapu.

Raptownie przenika mnie lekki prąd. Coś się dzieje. Jeszcze nic nie wiem, nic nie widzę, lecz jestem pewien, że COŚ GDZIEŚ już JEST. Harmonia naszego układu prysła. Klucz Leblanca wygląda na zdenerwowany. Co to! Zwiększają gaz. Bukłaszko z mojej lewej zaczyna się śpieszyć także.

Nagle iskra zapala się w świadomości. Duże szare wrzeciono pomyka z północy przecinając naszą drogę. "Dornier." Jest dość daleko przed nami, lecz niżej. Widzę jak Leblanc wysuwa się zdecydowanie ku niemu. Rzut oka w górę. Wydaje się, że niespodzianek nie ma. Mam nad Leblanc'iem przewagę wysokości i jestem dalej w prawo; powinienem dojść wcześniej. Daję sygnał swoim i ładuję pełen gaz. Lecz zwierzyna już dostrzegła. Ustawia się lekko pod horyzont i wieje co ma siły. Leblanc zostaje w tyle; przestrzeń pomiędzy nim a Niemcem wyciąga się jak gumowa nitka. Ja mam przewagę wysokości; to mi pozwala wysunąć się na czoło.

Gdy jednak znalazłem się na równej wysokości z "Dornierem," odległość zastyga. Mija minuta, dwie; pomiędzy mną a nim jest ciągle pół kilometra. Odchodzi na południe. Moi zostali daleko; Leblanc zaniechał pościgu. Nie ma rady; nie dogonię. Ze strasznym żalem, klnąc konstruktorów "Morana," zawracam. Niemiec, który się dobrze pocił, musiał teraz odetchnąć. To pogłębia złość.

Całe szczęście, że przewodnik leci teraz na małym gazie. To daje mi możność szybkiego dopędzenia grupy. Zajmuję znowu swoje miejsce pomiędzy Bukłaszką a Le Courtem. W przodzie po prawej wyrastają szare obłoczki. Strzelają do nas. To znaczy, że przybyliśmy na miejsce.

Przebijamy warstwy jakichś cienkich nawisów z bladych, rozlanych chmur. Czyni się coraz ciemniej. Skręcamy lekko w lewo. Jakaś szersza grupa obłoków odchodzi do tyłu; z poza nich ukazuje się płonąca ziemia. Wyrastają nowe grzyby pocisków na naszej drodze. Równocześnie wypada z prawa słońce. W dole czarna otchłań, dymy z wielu płonących miast i wsi. Ognie trwałe i wybuchające co chwila. Na tysiącu metrów zgęstnienie dymu jak fale morza. Nad tym niebo niesamowite, białe jak papier. W luce słońce krwawe, słabe i pogrążające ziemię w jeszcze większą otchłań mroku.

Było to szatańsko groźne i malownicze, niewiarygodne, lecz prawdziwe. Gdyby mi pokazał poprzednio coś tego rodzaju na ekranie, lub obrazie, powiedział bym o autorze, że maluje pod wpływem wyrafinowanych narkotyków.

Zaczynają grzać w nas coraz celniej. Grzyby wyrastają bliżej. Maszyny zataczają się, przelatują jedna obok drugiej w niepokojącej bliskości, wpadają w chmury, wyskakują jakby bies prowadził to wszystko. Ani mowy o utrzymaniu jakiegoś porządku. W pewnej chwili całość wrzyna się w chmury. Wpadam pod takim samym kątem i kierunkiem.

Po wyjściu nie widzę żadnego samolotu. Wracam nad chmury. To samo. Krążę. Obok mnie w prawo jakaś awionetka. Co u licha robi awionetka na wojnie! Aha! Teraz widzę, zajął się nią już jeden "Moran." I jedno i drugie zatacza łagodne kręgi. Przypuszczam, że chcą się wzajemnie rozpoznać. Podchodzę bliżej. "Moran" dojrzał mnie i wołał skrzydłami. W skręcie miga na kadłubie dziesiątka. Bukłaszko! Ale awionetka urosła i przemówiła wyraźnie kształtami "Henschla 126."

—Hej, bij, zabij! — szarpię rączkę od gazu, lecz Bukłaszko jest bliżej. Widzę jak podchodzi w skręcie. Teraz strzela — myślę. "Henschel" zwala się na skrzydło i wchodzi w chmurę. Wołam na Bukłaszkę i stawiam samolot sztorcem. Wyje.

Ale chmury zdmuchnęło piorunem. Gdzie, gdzie? — szukam. Nic. Pusto. Z ziemi biegną do mnie sznurki korali. To działka przeciwlotnicze. Pociski czerwone, jak krwawe jagody nanizane na niewidzialną nitkę w doskonale równej od siebie odległości. Wzbijają się fontanną. Można śledzić każdy z korali w przelocie. Nagle podmuch. Grzyby w prawo, w lewo. Nowe źródła korali. Tańczą dookoła, obramowują.

O pół kilometra na wschód i niżej ode mnie jakiś inny "Moran." Co on robi i skąd się wziął? Walą do niego także. Rozpętało się piekło. Ziemia szaleje, wyrzuca ognie, setki ogni. Odtwarzam w myśli szybko kolejność czynności, jeżeli trafią: Kabina — raz, pasy — dwa, przewrócić na plecy — trzy.

Zamiatam sterem. Samolot wyczynia desperackie skoki, susy, skręty. Uciekam na zachód, lecz prowadzą mnie długo w ogniu. Wkońcu dobijam do zbawczej chmury. Przebiwszy ją, oddycham. Lecz co robić dalej? Hej, czy mnie oczy nie mylą! Awionetka znowu. Stary lis zmylił mnie i Bukłaszkę. Dał nura w chmury i wynurzył się znowu, a my jak głupcy poszliśmy w ogień.

Porywa mnie złość myśliwego, którego zwierzyna wyprowadziła w pole. Zaczynam zachodzić od słońca, ale wtedy dostrzegam wyżej ode mnie w prawo dwa samoloty. Nie są to jednak "Morany." O do diabła! Dlatego stary lis jest taki zuchwały. Nie ma najmniejszej wątpliwości, te dwa samoloty, to "Messerschmidty 109." Czy mnie widzą? Co się stało z resztą moich? Nie poszli jeszcze chyba do domu?

"Messerschmidty" coś spostrzegły i spikowały poza chmurę. Lis ukrył się znowu za jej parawanem. Słońce z krwawego robiło się różowe. Cała przestrzeń pomiędzy ziemią a pierwszym pułapem chmur zionęła mrokiem, pośród którego od czasu do czasu błyskały ognie wybuchów. Górne piętra pułapu promieniowały niesamowitą, skoncentrowaną różowością. Gdy byłem małym chłopcem, ktoś wylał na moją różową akwarelkę szklankę wody. To była właśnie taka pełna w sobie, skoncentrowana różowość. Na wierzchu różowego płynu pływał papierek w kształcie guzika z napisem: "Iskra i Karmański." Wspomnienie śmieszne. Nigdy przedtem nie wyłoniło się z pamięci. Nigdy. Dopiero trzeba było tego lotu, tych chmur i tego słońca. — Iskra i Karmański — mówię sam do siebie, patrząc na zbałwanione jezioro różowości.

Czyham na lisa. Poznałem jego taktykę. Wynurzał się z chmur, jak z nory, chwytał obserwację, może robił zdjęcia, i uciekał znowu do nory. Nabieram wysokość żeby mieć szersze pole obserwacji. Jak tylko wyjdzie, uderzę na niego.

W miarę jak się wznoszę, różowość rzednie i żółknie. Wyżej nad nią aż do wysokiego papierowego pułapu górnych chmur wszystko wypełnia srebrno-zielona poświata. Gdy w letni dzień da się nurka do wody, nad którą rosną gęste drzewa, wrażenie jest podobne. Poświata pod słońce staje się mżąca i połyskliwa, w kierunku na zachód mrocznieje i zagęstnia się jak galareta.

Od wschodu i niżej idą jakieś samoloty. Trzy . . . cztery . . . pięć. "Morany." Idą wprost pode mnie. Na tle chmury coś zamajaczyło. Awionetka? Nie. Inny "Moran." Jakiś pustelnik tak, jak i ja. Nad "Moranem" grzyby. Strzelają na słuch. Pustelnik zobaczył piątkę i bierze kierunek na nią.

Wtedy z chmur wyłazi ostrożnie lis. Najpierw przemignął lekko pomiędzy jedną a drugą warstwą, wyskoczył na krótko, jak wystrzelona torpeda po pierwszym nurku, pogładził płatami powierzchnię i oto już płynie w zielonej poświacie, odchodząc od chmury. Trafił w sam środek pomiędzy pustelnika a piątkę. Dostrzegli go od razu wszyscy. Byli bliżej ode mnie.

Pustelnik wykonał raptowny skok i odciął mu drogę do chmury. Piątka rzuciła się, do wyścigu o atak. Dla mnie okazja stracona. Nie dojdę przed nimi do strzału w żaden sposób. Zabiorą mi moją zwierzynę. Kilka spojrzeń naokoło w górę. Papierowe podbicie górnego pułapu bez skazy.

Wracam uwagą do akcji w dole. Lis w desperackiej spirali schodzi w mrok rosnący z ziemi. Żeby widzieć dalszą zabawę, muszę spikować, bo kształty zamazują się już i zacierają w oćmie. Jeden ze ścigających podszedł z tyłu od dołu i wykańcza atak świecą. Teraz musi strzelać. Przeszedł blisko; zdawało się, że się zderzą. Nic. Żadnego skutku. Niemiec kręci i wywija się ciągle. A oto drugi "Moran" wypracował sobie pozycję. Czekam skutków. Znowu nic. Któż teraz będzie atakować?

Nagle, co to? Lis zamiast schodzić dalej w dół pod osłonę artylerii, robi looping. Jest to tak niespodziewane, że mnie poraża. Czy mi się nie śni? Po loopingu zaczyna lecieć znowu pod ostrym kątem w górę. "Morany" krążą jak jastrzębie nad zającem. Rozumiem. Ten samolot nie jest już prowadzony ręką pilota. Ciągnie jakiś czas, nie dochodzi do zawiązania loopingu, lecz zastyga bezwładnie w niebie. Szybkość wygasa w oczach. Jeszcze wisi na silniku, lecz to już ostatnie siły. Wyraźnie wbija się w oczy tragiczne, rozpaczliwe rozkrzyżowanie ramion samolotu w zupełnym bezruchu dziobem w kierunku nieba. Jest to ostatni krzyk, ostatni sygnał.

A oto siła ciężkości już działa. Samolot zwala się na skrzydło, okręca się zwolna raz i drugi dookoła swojej podłużnej osi i porwany spazmatycznym wirem korkociągu wije się w nim do ziemi. Nad samą jej powierzchnią ginie w zamęcie dymu i mroku. Po sekundzie z kierunku gdzie zginął, bucha gejzer ognia.

Zbieramy się do kupy; dwóch jeszcze brakuje. Jednym z brakujących Bukłaszko. Czy aby go nie zestrzelili. Po pierwsze nie podobał mi się ten "Moran" w ogniu artylerii a po drugie dwa pikujące "Messerschmidty." Kto drugi — nie wiem, w każdym razie ktoś z pierwszego klucza. Le Court już mnie zauważył i dołączył.

Idziemy znowu w górę, pniemy się z niebezpiecznego mroku na wysokość pierwszych chmur, z poza których w każdej chwili może wypaść niespodzianka. Orientuję się nie według terenu, lecz raczej na czucie, że Namur pozostał gdzieś na południo-wschód od nas. Zegarek wykazuje pół godziny pracy nad odcinkiem. Pójdziemy tam chyba jeszcze.

Wchodząc nad chmury, spychając je coraz głębiej pod siebie ma się uczucie osiągania coraz większej przestrzeni do rozpędu. Coraz szerszy oddech i swobodniejsze oko. Lecimy jak przypuszczałem pod kursem około 50°. Różowość znikła. Słońce jest duże i żółte, lecz skąpe jakby tkwiło swymi promieniami w zupełnie innym świecie, skąd przychodzi tylko odblask. Chmury wiążą się ze sobą ramionami rozlewisk. Ich wierzch nabiera światła; pod spodem wisi mrok gęsty i czerniejący w miarę jak idziemy wyżej.

Gdzieś daleko, daleko po prawej jakieś samoloty. Idą dość wolno na południe. Ma się wrażenie, że bombowce. Nasze drogi są rozbieżne; bliższych szczegółów na wzajem o sobie się nie dowiemy.

Zataczamy koło. Podbicie górnego pułapu pali się bielą jak ośnieżone górskie szczyty. Potęguje to wrażenie rozpiętości przestrzennej. Wymiary rozciągają się; biała kopuła nad głową odchodzi w niewymierną wysokość i dalekość. Staje się tak daleka, że przerasta przypuszczenia i proporcje. Jest niezrozumiała w swym ogromie i wroga.

Po kilku okrążeniach wyciągamy się w gończą sforę i pikujemy w rozpadlinę pomiędzy dolnym pułapem. Muskamy przebłyskiem ich powierzchnię; mignęła przed oczami jak tafla wody, zamknęła się nad głową zabierając światło. Jesteśmy znowu w mroku jak w skrzyni z rzadkimi szczelinami. Wodnisto żółte promienie biją z nich smugami, jak reflektory. W dole niepokojąca, zagadkowa cisza. Nie chodzi o wrażenia słuchowe, bo silnik pracujący eliminuje je do potężnego szumu, którego nie przebijają żadne głosy. Tam na ziemi jest cisza w tym znaczeniu, że nic nie widać, nic się nie dzieje, nie ma ruchu, ani błysku. Ciemno. Nasuwam okulary na oczy i otwieram kabinę. Może tak będzie lepiej. Ciemno. W dole na czarnej powierzchni ziemi /nie pamiętam bym widział ją kiedyś tak nieplastyczną/ z trudnością można wyłowić jakieś zarysy.

Zamykam kabinę i zsuwam okulary z powrotem. Jeszcze prostopadle coś niecoś się widzi. Dalej wskos wszystko ukryte za gęstym zamgleniem. W nosie wierci woń spalenizny. Nadlatujemy nad jakieś miasto. Skąd przyszło nie wiem. Dojrzałem najpierw ogniska pożarów, potem odkryłem pomiędzy nimi szachownicę ulic. Przechodzimy ponad węzłem stacyjnym. Czarny słup dymu strzępi się w olbrzymie kłęby. Równoległość nitek szynowych potargano. Dalej na wschód pola popstrzone od kraterów. Jeszcze dalej raptowne, urwane błyski artylerii.

Wypadamy na polanę światła. Jest to rozdarcie się chmur w górze. Miedziany blask wisi w powietrzu jak pył. W kwintesencji tego pyłu pływa słońce papierowe jak górny pułap. Ściany powietrznej studni tworzy przestrzenna mgła z cieniami dolnych chmur i warstwami dymów.

Trzy duże samoloty pełzną pod nami w kluczu. "Heinkle." Prowadzący daje sygnał. Powtarza Leblanc. Powtarzam ja. Idziemy z miejsca do ataku. Pozycja niedogodna: z góry, z przodu. "Heinkle" trójkami nie chodzą. Wypatruję, czy nie będzie więcej. Nie widać. Dziwne! Idziemy pociskami. Huk powietrza rozcinanego kadłubem. Sylwetki rosną. Ci z przodu przejeżdżają się po ich głowach.

Zamykam gaz. Umieszczam środek kolimatora na drodze czołowego. Pędzi ku niemu. Wytrzymać . . . wytrzymać. Jeszcze nie. Uwaga! Guzik. Ba . . ba . . . ba . . . ba. Cel zszedł z poprawki. Puściłem guzik. Ba . . . ba . . . ba poszła seria z działka w powietrze. To spusty pneumatyczne w "Moranie" działające z opóźnieniem marnowały amunicję.

Idziemy pod tym samym kierunkiem dalej. Nikt nie odpowie na pytanie, co stało się z "Heinklami." Jeżeli któryś został spuszczony, to także nikt nie odpowie, kto go zestrzelił.

Maszyny gnają na pełnym gazie. Nie rozumiem po co. Polana miedzianego blasku została w tyle. Jesteśmy znowu w koysce mroku, jak w głębokiej dziurze. Powietrze pełne nierówności i prądów. Samolot zrywa się z nośności przepada i podskakuje na przemian. Zawisam na pasach lub jestem wgniatany w siedzenia.

Kilka mniejszych pożarów w dole. Samotny dom w szczerym polu płonie jak kupa chrustu. Dziwne; co komu z takiego domu.

Przed dziobem wyskakuje miotła srebnych nitek. Fosforówki z karabinu maszynowego. Brutalny skręt jeden i drugi. Trzeba się mieć na baczności. Jesteśmy prawdopodobnie poza frontem po niemieckiej stronie. Wysokość 600 metrów. Zaczynam spostrzegać samochody pancerne na drogach.

Chmury nad głową stają się zwarte i gęste. W przodzie przed nami schodzą coraz niżej jednocząc się z mgłami przyziemnymi. Już kilka płacht otarło się o nas; zanosi coraz bardziej. Skręt do tyłu w prawo. W przodzie migocą snopy promieni przebijające chmury. Lecimy tam. Wysokość 1000 metrów.

Nagle przednie maszyny wpadają w zamieć ognia; aż czarno od dymu z pocisków. Równocześnie biją smugi działek szybkostrzelnych. Maszyny pryskają w prawo, w lewo, lecz pociski rwą się wszędzie. Wkrótce jesteśmy zasypani, obramowani z boków, z dołu, z góry. Korale pędzą strugami, biją z dołu jak deszcz, którego kierunek odwrócono. Nie ma mowy o oglądaniu się na prowadzącego lub poprzednika. Ratujemy się każdy na własną rękę. Wybuchy bliżej, diabelnie blisko. Uwaga, pamiętać! Kabina — raz . . . pasy — dwa . . . przewrócić na plecy.

Powietrze — czyste szaleństwo. Przestrzeń wrze i kipi popstrzona kłębami dymu, pocięta w pasy ognia. Z góry przyszło znowu niesamowite, miedziane światło. Spycha ono ziemię w szalejącą niewidoczność. Pogubiłem towarzyszy oprócz jednego. Idzie w kierunku zbieżnym do mego. Wygląda, że wyrwał się z zasięgu pocisków. Kawałek czystego nieba leży nad nim jak upragniona wyspa. Działa to sugerująco. Zmierzamy tam obaj. Wkrótce mogę przeczytać numer na kadłubie tamtego. Dwójka Bardina.

Tuż za ogonem dwójki wyrastają grzyby. Miałem wrażenie, że słyszę huki. Ma szczęście Bardin— za długie. Lecz co to! Z samolotu tamtego pryskają jakieś szczapy, odlatują kawałki. Bucha dym przesłaniając cały płatowiec — Skacz! — krzyczę w myślach. Pierwszy raz w życiu widzę tak blisko samolot płonący w powietrzu. To przeraża. Mdłe uczucie w ustach. Przecież tam siedzi człowiek, żywy człowiek. Na Boga, czemu on nie skacze!

Wybuch. Tam gdzie silnik — jądro czerwonego ognia. Prawe skrzydło odleciało. Kadłub z resztą wykręca niesamowitego łamańca i wchodzi prawie na pionowy, zawijany tor. Z płonącej żagwi odrywają się strzępy płomieni. Gdy gasną, stają się kawałami opierzenia. Płomień stanowi głowę długości dziesięciu kadłubów. Za nim długa kita czarnego dymu. Przyrosłem oczami do płomienia. Czekam na chwilę, kiedy ujrzę spadochron. Czekam daremnie. Płomień wjeżdża w ziemię.

Walą do mnie, ale rzadziej, niż przedtem i niecelnie. Wymiguję się i biorę pełny zachód. Jestem znowu sam. Trzymam się na wszelki wypadek tuż pod chmurami. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem. Jeżeli się nie zorientuję w tej gmatwaninie komunikacyjnej, trzeba będzie pchać się do morza.

W miarę jak posuwam się na zachód, widoczność się polepsza. Nadlatuję nad jakieś miasto. Kupa charakterystycznych linii. Robię okrążenie i zniżam się do 600 metrów. Charleroi — bezsprzecznie. Poczułem się od razu tak pewnie jakbym był już w domu.

Gdy wchodzę na kurs do swego lotniska, z przodu z lewej obsypują mnie koralami znowu. Te pierwsze, które zaskoczyły były najgorsze. Mignęły tuż koło skrzydła. Poniosło mnie w kabinie. Co za idiotyzm! Co za durnie! Być zestrzelonym przez własnych. Kiwam im przyjacielsko skrzydłami. Przecież dziecko z tej wysokości powinno rozpoznać barwy alianckie. Nie pomaga. Grzeją jak do nieprzyjaciela. Najchętniej bym plunął w nich resztką amunicji, która pozostała. Uciekłem, ale napsuli mi krwi nie mało. Po wylądowaniu złożyłem meldunek, że artylerzyści belgijscy nie umieją odróżniać samolotów francuskich od nieprzyjacielskich.

Robi się wczesny ranek. Tu i tam pracowici ludzie wychodzą mu naprzeciwko. Samoloty nasze pomału się zbierają. Wylądowałem drugi, potem przyleciało jeszcze dwóch, potem jeden. Reszta siedzi na sąsiadnich lotniskach; dolecą po uzupełnieniu benzyny.

Operacyjny dyonu jest przejęty moim meldunkiem, wymyśla na Belgów i dzwoni do sztabów. Rosa jeszcze lśni się na trawie. Niebo jest pogodne i dzień będzie ciepły.

—Idźcie spać — mówi dowódca. — Po południu czeka znowu robota.

Wyciągam materac na trawę. Gdy leżę na nim w słodkim bezwładzie mięśni, mży mi się przed oczami prawda i nieprawda, sen i rzeczywistość. Tamto co przeminęło jest teraz tak dalekie, tak odrębne od tego świata złotego słońca, szmaragdu trawy, że jest niezrozumiałe jak sen, którego sensu nie potrafię odgadnąć. Wdycham czyste, słodkie powietrze. Błękit nieba jest tak spokojny i jasny, jak z dziecinnych obrazków. Jak tu uwierzyć, że zaraz za ścianą tego, prawie w dosięgu ręki leży tamten inny świat płomieni i grozy.

Gdy budzą mnie na obiad jestem wypoczęty, choć rozespany. Dzień zaczyna smakować i wino smakuje także. Gdy go pijemy w ciszy i w niecodziennym skupieniu, wchodzi operacyjny i zwraca się do wszystkich.

—Artyleria pod Charleroi nie była belgijska.

—Niemożliwe — padają głosy.

—Niestety nie ma ani cienia wątpliwości. Był to silny podjazd niemiecki, choć Namur podobno jeszcze się broni.

Jeszcze nie przetrawiliśmy, nie rozgryźliśmy tej wiadomości, gdy w drzwiach pojawia się inny oficer.

—Żona porucznika Bardina telefonuje. Co powiedzieć?

Zalega przykre milczenie.

—Że list jest w drodze — odpowiada głucho dowódca dyonu.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Lotnictwo Polskie we Francji

Według umowy pomiędzy rządem polskim a francuskim miały być sformowane we Francji: 6 dyonów myśliwskich, 4 dyony współpracy, 2 dyony bombowe.

W wykonaniu tego został uruchomiony w styczniu 1940 w Montpellier pierwszy kurs przeszkoleniowy dla polskich pilotów myśliwskich. Czas trwania kursu był przewidziany na trzy miesiące, lecz postępy Polaków skłoniły władze francuskie do ograniczenia kursu zaledwie do jednego miesiąca. Przeszkoleni piloci w liczbie 20 zwani popularnie "Eskadrą Montpellier" odeszli 26.III.40 na front podzieleni kluczami pomiędzy 6 dywizjonów francuskich. Mieli oni odbyć tam frontową praktykę i po 3 — 4 miesiącach wejść z powrotem jako jedna eskadra w skład polskiego dywizjonu myśliwskiego. Wszyscy piloci zostali wyposażeni w nowe samoloty Moran 406 i nowy ekwipunek. Przed odejściem na front odbyła się w Lyonie wzruszająca uroczystość odprawy pilotów przez generała Sikorskiego, oraz dekoracja ich przez władze francuskie odznakami pilotów.

Na skutek krótkotrwałości działań bojowych we Francji piloci tej eskadry pozostali przez cały czas w jednostkach francuskich, poczem po zawieszeniu broni różnymi drogami przywędrowali do Anglii.

10.V.40 został sformowany 145 dyon myśliwski na samolotach Coudron-Cyclone ponadto w czasie od marca do czerwca 1940 odeszło dalszych 16 myśliwskich kluczy w składzie 3 — 6 pilotów bądź na front, do jednostek francuskich, bądź do obrony czułych punktów w kraju.

Klucze obrony krajowej z tego względu, iż były przydzielane przeważnie w rejony przemysłu wojennego dostały oficjalną nazwę "Kominów."

24 maja 1940 został sformowany dywizjon bombowy, który osiągnął gotowość bojową w połowie czerwca 1940 i nie wziął żadnego udziału w akcji.

Działalność lotnictwa polskiego we Francji ogranicza się zatem wyłącznie do lotnictwa myśliwskiego. Z dużej ilości pilotów myśliwskich zaledwie 136 wzięło udział w akcji bojowej. Wyposażeni w sprzęt wielokrotnie gorszy od sprzętu przeciwnika, jak Moran 406, Bloch i Coudron-Cyclone walczyli zwycięsko odnosząc piękne sukcesy i zyskując uznanie francuskich kolegów. Zaledwie kilkunastu otrzymało w czerwcu 1940 Devoitiny i Curtisy 75, które choć jeszcze nie dorównywały Messerschmittowi 109, były jednak o klasę wyższe od sprzętu posiadanego poprzednio.

Jednostka	Stan pilotów	Samoloty	Zwycięstwa	Straty
Klucze frontowe	39	Moran 406, Bloch, Devoitine, Curtis 75	29	3
Dyon 145	33	Coudron-Cyclone	12	7
"Kominy"	64	Moran 406, Bloch, Curtis 75	14	5
RAZEM:	136		55	15

Bez black-outu

Kontakt Polaków z Brytyjczykami, obserwowany pilnie przez nas w obecnym objeździe po Anglii i Walii z przedstawieniem "Polish Panorama" — nadaje się jedynie do bardzo szczerego i bardzo otwartego omówienia. Są w tym niewątpliwie jasne, są i ciemne strony; blackout trzeba jednak odkryć z jednych i drugich, gdyż sprawa jest ważniejsza, niż by pozornie mogło się komuś wydawać.

Jak wspominałem w poprzednim felietonie, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że obecnie, jeszcze raz w tej wojnie, daliśmy się opętać perfidnie zorganizowanej piątej kolumnie. Działa ona z różnych punktów, strzela różnokolorowymi, zatrutymi pociskami, wśród których nierzadko przy baczniejszej obserwacji znajdziesz najbardziej nieoczekiwany kolor . . . Wydaje się, iż jest już najwyższy czas do zupełnie jasnego zorientowania wszystkich Polaków, że komuś bardzo zależy na mąceniu i zatruwaniu wody u źródła przyjaźni polsko-brytyjskiej. Ciągną do tego źródełka różne wyprawy piątej kolumny, często im się udaje, czasem przegrywają lub w ogóle nie dochodzą. Niestety, w ostatnich szczególnie czasach, dawki trucizny są podwajane, na gwałt wzmacniane, a sukcesy "strzelnicze" poważne.

Wielu z nas ma nadszarpnięte nerwy, wielu trapi niezaspokojona ambicja, innych jakieś drobne, ale wyolbrzymione żale, nieumotywowane uprzedzenia. Poważną rolę gra czasem także typowe poczucie mniejszej wartości. Jakiż to w sumie podatny grunt dla rozwinięcia trucicielskiej działalności?

Nasza gadatliwość nie mająca chyba — poza włoską — równej w świecie, nasza słowiańska skłonność do wynurzeń, szczególnie przy kieliszku, nasza chęć wygadania się, wyżalenia — to niewątpliwie elementy sprzymierzeńcze w rękach piątej kolumny. Uderzyła ona w te najsłabsze właśnie, najczulsze strony polskiej natury. Wykorzystała doskonale — szczególnie w ostatnich czasach — wszystkie słabostki naszych nerwów, uprzedzeń czy załamań.

Musimy się opamiętać i musimy się przeciwstawić. Jeżeli nie zorganizujemy się w tej sprawie solidarnie, prędzej czy później grozi nam utrata poważnego dorobku naszego w tej wojnie: przyjaźni brytyjskiej. Do tego celu zmierza nie krępując się doborem środków różnokolorowa — o wielu twarzach i mackach — piąta kolumna na tutejszej wyspie. Zna ona dobrze ścieżki i "chody" polskie, a ponieważ nie napotykała na poważny opór, przeciwnie na przewrażliwione, podatne obiekty, poczynała sobie bardzo zuchwale sądząc, że jeszcze raz się nie domyślimy, że jeszcze raz się uda.

Wprawdzie domyśliliśmy się nareszcie, ale udało się jej, udało się piątej kolumnie bardzo wiele. Nie może udać się więcej! Tu właściwie kończy się działanie propagandy, a musi się zacząć działanie zdrowego rozsądku. Kraj nasz, który poważnie liczy na kontakty z Brytyjczykami, nigdy by nam nie wybaczył naiwności i lekkomyślności, którą wykazujemy w tych sprawach.

Oprócz działania piątej kolumny, wyzyskującej nasze przewrażliwienie niewątpliwie poważną rolę w narażaniu na szwank przyjaźni polsko-brytyjskiej odgrywają czasem różnice temperamentów kontynentalnych i wyspiarskich.

Niewątpliwie "złą krew," która może być wykorzystywana przez piątą kolumnę — robią różne mniej lub więcej poważne "gaffy" naszej lub ich służby informacyjno-prasowej. Przytaczam konkretny przykład: jeden z polskich dywizjonów myśliwskich brał niedawno udział w wyprawie dziennej nad Francję jako osłona bombowców. W drodze powrotnej wyprawę zaatakowało kilkadziesiąt Focke-Wulfów, z którymi Polacy przyjęli nierówną walkę strącając 3 maszyny niemieckie i tracąc 4 własne. Z bombowców brytyjskich i amerykańskich, osłanianych przez polskie myśliwce, przepadła tylko jedna maszyna. Jakież było zdziwienie polskich uczestników wyprawy, gdy wieczorem w "newsie" brytyjskim usłyszeli: "w dniu dzisiejszym siły powietrzne brytyjskie i amerykańskie brały udział w rejdzie dziennym nad Francją, przy czym strącono 3 myśliwce niemieckie." O Polakach ani słowa. Taki błąd wywołuje uzasadnione poczucie krzywdy i rodzi głęboki żal.

Nowością w metodach piątej kolumny jest tym razem jej uderzenie frontowe, dawniej operowała zwykle na tyłach, teraz obrała metodę judzenia i zatruwania współpracy w polskich jednostkach walczących. Oczywiście nie należy sprawy uogólniać. Nie twierdzimy, że wszędzie tak jest, wiemy, że w wielu, w ogromnej, przytłaczającej ilości wypadków współpraca z Brytyjczykami w jednostkach bojowych układa się jak najbardziej harmonijnie. Jednak S.O.S. w tej sprawie wydaje się w chwili obecnej konieczne.

Piąta kolumna ukuła, jak zwykle, gotowe wzorcowe opowiadania i gadki antybrytyjskie. Nie wiadomo n.p. kto jest autorem przezwisk, nie zawsze bardzo miłych, które podsunięto Polakom na określenie Brytyjczyków jak: "dżemojady," i t.p. Nie wiadomo, ale łatwo się domyśleć, kto bardzo pilnie podsuwa typowe opowiadania o tym, jak to Anglicy "wyrywają" w niebezpieczeństwie, a Polacy za nich nadstawiają głowy. Jak często, aż do znudzenia, powtarza się stara bajeczka o tym, jak to "Anglikańcy nas już teraz sprzedają, a napewno wykiwają po wojnie"! Inflacja tych i podobnych bajek wydaje się dziwnie natężać, przybierać na sile w związku z pewnymi wydarzeniami na frontach, w związku z echami, jakie te wydarzenia budzą w Wielkiej Brytanii. Z jednego i drugiego powinniśmy sobie zdawać sprawę w sposób spokojny, bezstronny, sprawiedliwy. Wtedy zamierzony efekt piąto kolumnowy napewno chybi celu.

Nie wystarczy jednak zająć tylko stanowisko obronne, nie wystarczy uodpornić się na niesprawdzone wersje i plotki, ale trzeba podjąć możliwie natychmiast — ofensywę na odcinku zacieśniania kontaktów z Brytyjczykami. Trzeba szczerze — jak to dziś próbujemy zrobić — odkryć przed nimi nasze obserwacje, podzielić się uwagami, mówić bez ogródek o naszych obawach i spostrzeżeniach i razem z nimi ustalać plan działania w tych bardzo delikatnych sprawach. Popykają oni fajeczkę, zamyślą się, powiedzą po chwili: "Well," może nic więcej, ale napewno będą ujęci naszą szczerą postawą.

Do takiej szczerości zobowiązuje nas cały okres długich miesięcy, które nastąpiły po czerwcu 1940 roku, gdy "dżemojady" na rozkaz Winstona podpłynęły do brzegów Francji, by zabrać na pokłady okrętów Jego Królewskiej Mości Polaków, którzy nie mieli odwrotu, a przed sobą tylko morze. "Dżemojady" szły po nas pod bombami, w grozie okrętów podwodnych, na pokładzie witały nas uśmiechem i dobrym ludzkim słowem. A gdy załamani i bardzo smutni lądowaliśmy w portach Wielkiej Brytanii, "dżemojady" podniosły na pociechę kciuk do góry — thumbs up — na znak, że wierzą w zwycięstwo.

O tych dniach roku 1940 musimy pamiętać. To zobowiązanie honorowe. Niewątpliwie nie przyjechaliśmy na tę wyspę tylko po to, by się wadzić i . . . planować. Polacy dali z siebie dużo, bardzo dużo, czasem ponad miarę. Ofiara życia lotników, marynarzy, tych, którzy już nigdy do Polski nie wrócą, jest bezcenna, zasługa tych, którzy żyją i walczą dalej, nosząc na piersiach wysokie odznaczenia brytyjskie — oto ciche spłaty honorowego długu przyjaźni. Spłaty regularne: co dzień idą do walki polskie dywizjony, co dzień wypływają na morze polscy marynarze.

Napewno dobrze wie o tym ten sam Winston, który słał po nas okręty, napewno wie o tym i pamięta cała Wielka Brytania. Wierzymy, że pamiętać będzie w chwilach decydujących i że przy naszej najgorętszej współpracy, nikt nie zdoła zatruć czystych źródeł tej przyjaźni, która rodziła się w chmurnym, trudnym roku 1940.

WIKTOR BUDZYŃSKI

BALLADA O STARSZYM STRZELCU

Przed nagłą ulewą
Schronił się pod drzewo
Starszy strzelec John Howard Swift.
Królowa Mary jechała,
Zatrzymała samochód, spytała:
May I give you a lift?

Thank you—powiedział lance-corporal
John Howard Swift w samochodzie—
Rozpadało się chyba
Na dobrych kilka dni.
Trochę jeszcze mówili o deszczu.
I w ogóle, o pogodzie.
Potem królowa rzekła:
Pojedź do mnie na cup of tea.

Sorry—powiedział lance-corporal
Z zakłopotaną miną—
Śpieszę się. Umówiłem się
Na spotkanie . . . z pewną dziewczyną.

To bardzo ładnie—
Rzekła siwa królowa—
Że ci ważniejsza twoja
Dziewczyna i twoja umowa.

Gdzie cię podwieźć? — To już tam, za rogiem,
Druga brama. Tu?—Dziękuję, tak.
Good-bye—powiedział żołnierz. Good-bye—
Powiedziała królowa Mary—good luck.

* * *

Sam jestem starszym strzelcem,
Jak John Howard Swift, mój kolega,
I jak tłum innych. Wiem o czym
Myślimy, w tym naszym tłumie—

Demokracja, /tak czasem
Myślimy/ nie na tym polega,
Że starszy strzelec jest także
Człowiekiem. Bo to się rozumie.

W naszym znaczeniu, głębokiem
W naszym znaczeniu, dalekiem—
Demokracja polega na tym,
Że król
Jest także człowiekiem.

MARIAN HEMAR

Skrzynka pocztowa

CZY CZAS NA REWIZJĘ POGLĄDÓW O MURAWIEWIE?

Groza obecnej wojny, a w szczególności natężenie prześladowań, jakie dotknęły naród polski, sprawiają, że jesteśmy skłonni nieco inaczej wartościować dzieje martyrologii polskiej dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Cisza cmentarna nocy epoki paskiewiczowskiej nabrała dziś innego wymiaru w zestawieniu z zupełną likwidacją polskiego życia kulturalnego w kraju. Walka Bismarcka z Kościołem tak się ma do eksterminacji polskiego życia religijnego dzisiaj na ziemiach inkorporowanych, jak się ma liberalny wiek dziewiętnasty do bezwzględności państw totalnych wieku dwudziestego.

Ale w tej zmianie oceny prześladowań polskiego życia politycznego i kulturalnego w ubiegłym wieku powinniśmy zachować umiar, nie wpadać w przesadę, nie próbować wybielać tego, co się żadną miarą wybielić nie da. I czego co więcej — wybielać nie ma żadnej potrzeby. Te myśli nasunęły mi się, gdym przeczytał artykuł p. Zygmunta Nowakowskiego "Dwa dzwony" w nr. 5 "Wiadomości Polskich."

Gdy czytam w tym artykule, że w czasach emigracji polskiej dziewiętnastego wieku "wszyscy okupanci, bo nawet i Rosjanie, odznaczali się w porównaniu do swych dzisiejszych potomków liberalizmem, kulturą uczuciową, wyrozumiałością i innymi cechami humanitarnymi" to w tej chwili stają mi w myślach jakże liczne fakty brutalności tej polityki ujawnione przez studia Askenazego, Kucharzewskiego, Krzemińskiego, Korzona i zadać sobie muszę pytanie, jaki pozytywny cel może mieć próba rehabilitowania polityki Rosji carskiej na ziemiach polskich.

Bo jeśli można się zgodzić z sądem p. Nowakowskiego, że polityka szkolna Nowosilcowa jest umiarkowana w zestawieniu z atakiem Niemców na kulturę polską, to trzeba jak najostrzej zaprotestować przeciw zbyt pośpiesznie ferowanemu rozgrzeszeniu dla działalności Murawiewa. P. Nowakowski utrzymuje, że Murawiew "na całym swym kilkonastoletnim koncie miał znacznie mniej wyroków śmierci, niż ma ich w ciągu miesiąca jakiś pokątny szef policji w byle powiatowym miasteczku polskim podczas tej wojny."

Wbrew temu mówią fakty. Działalność Murawiewa na Litwie przyczyniła się ogromnie do zniszczenia siły ludnościowej żywiołu polskiego, a w szczególności jego warstwy szlacheckiej. Szubienice, deportacje, konfiskaty majątków, wysiedlenia ludności na Sybir stanowiły wówczas zjawisko tak masowe, że były powiaty, w których wyginęła cała młodzież szlachecka. Zwłaszcza dotkliwie tępił Murawiew drobną szlachtę zaściankową jako element o wypróbowanym patriotyźmie. Z całych zaścianków wypędzano ludność, wsie palono, zgliszcza zaorywano, skazanych wraz z rodzinami wywożono na Sybir. Przybrało to tak olbrzymie rozmiary, że rosyjskie ministerstwa wojny, spraw wewnętrznych i dóbr państwowych nie mogły sobie dać rady z tym zagadnieniem, a ministrowie zwrócili się do Murawiewa z prośbą, by nie wysyłał nowych skazańców do Rosji, bo brak im już dozorców.

Czyż trzeba przypominać bezwzględną walkę Murawiewa z książką polską i litewską /n.p. litewskie palono masowo w Wilnie/, z językiem polskim w szkole, teatrze, w życiu codziennym. Przecież przybierało to tak groteskowe formy, że nawet w ustępach były napisy tej treści: "zdieś po polski goworit zaprieszczajetsia."

Walka z polskością zainicjowana w tej skali na ziemiach litewsko-białoruskich przez Murawiewa, nie skończyła się z nim samym, trwała aż do roku 1905, kiedy pierwszy raz pod naciskiem ruchu rewolucyjnego musiała trochę zelżeć. Wystarczy się wczytać w karty korespondencji Orzeszkowej, która ukazała się tuż przed obecną wojną, by zdać sobie sprawę z rozmiaru szkód i strat, jakie poniósł żywioł polski wskutek działalności Murawiewa. Przecież wśród pokolenia dziś żyjącego jakże wielu jest Polaków z tamtych ziem, których dziadowie na skutek zsyłek Murawiewa znaleźli się na Sybirze.

Brückner w jednej ze swych książek tak określił generał-gubernatora Murawiewa: "Był to Mongoł z pyska, sadysta z temperamentu, "wieszaciel" z urzędu." Próbować dziś bez żadnego uzasadnienia pomniejszać zbrodniczość jego działalności jest pomysłem dość dziwacznym. W obecnych stosunkach polsko-rosyjskich wybielanie Rosji carskiej jest postępowaniem, które trudno nazwać poważnym.

Ryszard Malski

Z NOWEJ ZELANDII

Wielmożny Panie Redaktorze,

Myśl napisania do Pana poddał mi prof. Wodzicki. Celem obecnego listu jest danie folgi memu szczeremu entuzjazmowi dla Pańskiej gazety. Służę coprawda w armii nowozelandzkiej, bo dla jednego czy dwu Polaków trudno było utworzyć specjalną formację, ale niemniej uważam się za "żołnierza polskiego na obczyźnie" i wobec tego "Polskę Walczącą" za "swój" organ. Nie będę się bawił w prawienie banalnych pochlebstw i chcę dać tylko wyraz swemu szczeremu przeświadczeniu, że lepszej gazety żołnierskiej obecnie na świecie nie ma.

Może zainteresuje Pana fakt, że przed wstąpieniem do wojska pracowałem jako inżynier-chemik w Dunedin, który słusznie czy niesłusznie uchodzi za Edynburg południa i wobec tego służę w pułku prawie czysto szkockim. W mojej jednej kompanii karabinów maszynowych jest pięciu różnych Mac Leodów a innych Mac'ów co niemiara. Wobec tego zrozumiałe jest moje szczególne zainteresowanie dla warunków, w jakich żyje armia polska w Szkocji i chciwie czytam wszystkie artykuły w "Polsce Walczącej" traktujące o tym przedmiocie.

Oczywiście Dunedin i prowincja Otago w Nowej Zelandii, chociaż założone i rozbudowane przez emigrantów szkockich i zasilane wciąż jeszcze sporą ilością Szkotów nie mogą być utożsamiane ze Szkocją prawdziwą, co się choćby uwidacznia w fakcie, że nie whisky, lecz piwo jest tu naszym narodowym trunkiem. A szkoda, bo obraz stosunków polsko-szkockich, kreślony w pismach polskich jest taki budujący, że czasem bierze mnie chętka stania się swoim własnym antypodem, t. zn. znalezienia się nagle gdzieś w Glasgowie lub "somewhere in Scotland." Nie znaczy to jednak, abym czuł się nieswojo wśród tutejszych Szkotów.

Surowe zakazy udzielania jakichkolwiek informacji dotyczących sił zbrojnych i stosunków w obozach nie pozwalają mi pisać o przeżyciach wojskowych, mam wrażenie, że mógłbym napisać już, po niespełna rocznym doświadczeniu sporą książkę, ale chyba nie popadnę w konflikt z cenzurą, jeśli zaznaczę, że żołnierz tutejszy jest niezwykłego kalibru, dobry do wybitki i dobry do wypitki, nie znający mechanicznej, ślepej dyscypliny —przypuszczam, że doprowadziłby wkrótce do rozpaczy najbardziej cierpliwego zawodowego polskiego sierżanta — ale inteligencją, inicjatywą i zaradnością nie ustępujący żadnemu chyba żołnierzowi na świecie. Jeżeli kiedyś—a może to wnet nastąpić—znajdę się w ogniu, trudno by mi było życzyć sobie lepszych towarzyszy broni, ale w obozie czuję się czasami nieco obcy i osamotniony.

Staram się przy pomocy prof. Wodzickiego z pewnym powodzeniem propagować znajomość Polski wśród moich komilitonów; niektóre broszury wzbudziły zainteresowanie podobnie, jak i książka Pruszyńskiego "*Polish Invasion*," która mnie osobiście mocno rozczarowała, bo po tym zdolnym publicyście można by się było spodziewać czegoś więcej, niż słabego naśladownictwa Maurois.

Ale z tego, co się u was pisze, i jest naprawdę przekonywające, jest niestety nieprzetłumaczone lub nieprzetłumaczalne. Do tej kategorii zaliczam między innymi przepiękne "Melodie szkockie" Ligockiego wydrukowane w kwietniowym, o ile się nie mylę, numerze "Polski Walczącej" z r. 1941 i wiele dałbym za to, gdybym mógł te dwa wiersze, jak również jego, "Birnamski Las" odczytać swoim kulturalniejszym znajomym w kongenialnym przekładzie. Ale to prawie niemożliwe, więc mogę tylko gratulować w duchu staremu żołnierzowi i poecie—bo musi on chyba już być nie pierwszej młodości — którego druga z kolei emigracja nie tylko nie złamała, ale przeciwnie natchnęła do wyczynów nieporównanie lepszych od jego całej poprzedniej twórczości.

Kreślę się z głębokim szacunkiem.

Leon Hartman

KOMUNIKAT

Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych, 3, Grosvenor Square, W.1 /od 15 stycznia 1943 — Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, S.W.1/ organizuje w czasie od 1 marca do 31 maja 1943 r. trzymiesięczny Kurs dla kandydatów na Inspektorów Szkolnych.

O przyjęcie na Kurs ubiegać się mogą:

1/ Kierownicy i nauczyciele szkół powszechnych, posiadający kwalifikacje dodatkowe,

2/ Kwalifikowani nauczyciele szkół średnich ogólnokształcących i zakładów kształcenia nauczycieli, którzy pragnęliby poświęcić się pracy w administracji szkolnej.

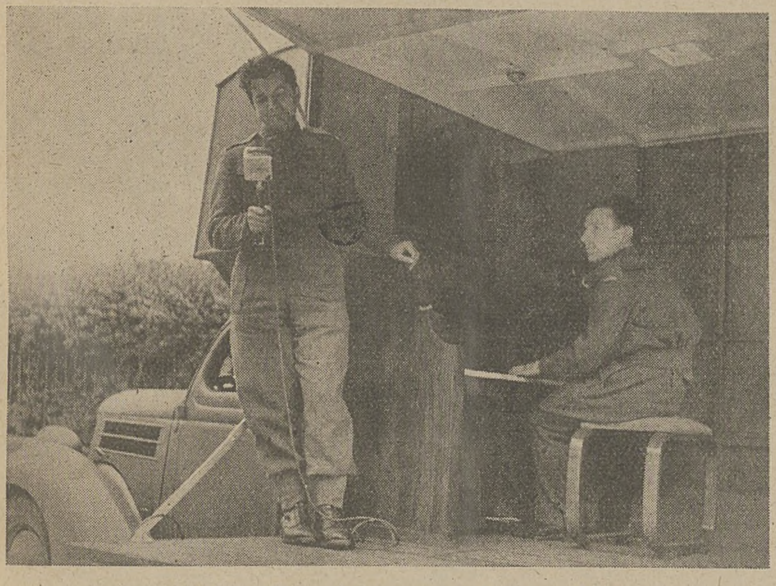
Zgłoszenia przesyłać należy do Urzędu Oświaty w terminie do dnia 21 lutego 1943 r.

Ilość miejsc ograniczona. O przyjęciu na Kurs oraz o terminie rozpoczęcia wykładów zostaną kandydaci powiadomieni oddzielnymi pismami.

Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych.

Z życia obozów

Polska Y.M.C.A. "motoryzuje" muzykę



Kolega Baczyński zapowiada imprezę

"— No, jeżeli już i ci dostali sprzęt, to chyba wszyscy niedługo pojedziemy za wodę"—zauważył wychodzący z kantyny jakiś goniec, gdy wysoki wehikuł wjeżdżał na podwórze gmachu dowództwa Korpusu. Napis srebrny na ścianie pojazdu głosił: Wóz muzyczny Polskiej Y.M.C.A. w służbie Armii Polskiej."

Była właśnie przerwa obiadowa, więc wkrótce zgromadziła się dokoła spora grupka ciekawych. Wóz ustawiono frontem, jedna ze ścian nagle opadła i oczom widzów ukazała się miniaturowa scenka, z kurtyną. W głębi stało śliczne, nowiutkie pianino i kilka taburetów dla "załogi." Po chwili zmontowany już był aparat do odtwarzania płyt, których przywieziono wielki zapas, na dachu znalazły się dwa potężne głośniki, a dowódca "grającej budy" Szczepan, z niemałym tryumfem wyniósł mikrofon i rozpoczął próbę instalacji. Główny "boss" Majchrzak zdjęty leciutką tremą, przepowiadał sobie w kącie powitalne przemówienie.

Pierwsze przedstawienie naznaczone było na godzinę 3-ą po południu. Jakby na "zamówienie" jednak słoneczne piękno wczesnojesiennego dnia zmąciły chmurki i szkocki deszczyk zaczął pracowicie skrapiać przyblakłą już zieleń drzew i trawy. Za chwilę znowu zabłysło słońce, ale mimo to "dyrekcja" z niepokojem spoglądała na niebo w obawie, czy pogoda wytrzyma. Na polanie ustawiano tymczasem krzesła i ławki, które zajmowała szybko żołnierska widownia. Kilka minut przed oznaczoną godziną zjawił się Dowódca Korpusu wraz ze swoim zastępcą i wieloma oficerami.

Uroczystość rozpoczyna przemówieniem kol. Majchrzak, podkreślając, że wóz, który w dniu dzisiejszym oddany zostaje na usługi oddziałów polskich, w Szkocji ufundowany został przez Y.M.C.A. i że Paul Super, który nawet będąc za oceanem nie traci żywego kontaktu z życiem i potrzebami żołnierza polskiego przysłał na ten cel osobno potrzebną sumę i przyrzekł dopomóc w sprawieniu dalszych wozów tego typu, gdy rozrost liczebny naszych oddziałów będzie tego wymagał. Zadaniem "strategicznym" wozu jest dotrzeć wszędzie z żołnierzem, zawieźć polską muzykę i polskie żywe słowo nawet do najmniejszych oddziałków, rozrzuconych na szkockiej prowincji.

Dowódca Korpusu przyjmując dar podziękował Polskiej Y.M.C.A. za jeszcze jeden, hojny dowód wielkiej życzliwości i troskliwości o potrzeby kulturalne żołnierza polskiego. "Oby ten wóz jak najprędzej ruszył z gościnnej ziemi szkockiej na "tamten" brzeg, ku naszym stronom rodzinnym." Generał wyrąził potem wdzięczność wypróbowanemu przyjacielowi Polaków Paulowi Superowi, "który pewnie teraz myśli o tym, aby podobnie jak w r. 1918 w ślad za wojskiem polskim dotrzeć do Polski i wznowić swoją piękną pracę, którą przerwała wojna."

Następnie ks. prałat Michalski poświęcił wóz, po czym przyszła kolej na artystyczną część inauguracji. Zabrzmiały tony poloneza Chopina, którym odtąd rozpoczynać się będą wszystkie imprezy wozu muzycznego, podobnie jak kończyć je będzie stale utwór Moniuszki. Okazało się jednak, że cierpliwość i kurtuazja szkockiej pogody już się wyczerpały, widocznie—jak zauważył Dowódca Korpusu — deszcz chciał także mieć swój udział w poświęceniu, wobec czego wóz podjechał nieco dalej, a widownia biegiem zmieniła "miejsce postoju," lokując się pod koronami dwóch olbrzymich buków, po czym przerwane przedstawienie potoczyło się dalej.

Pianino "zainaugurował" jeden z podchorążych, po czym na małej scence pojawiła się czwórka "Lwowskiej Fali": Majewska, Budzyński, Wieszczek i Hausman, przysłonięty nową ogromną harmonią. Nie było miejsca na scenie na cały zespół, przybyła jednak na uroczystość inauguracji wozu "reprezentacja" zespołu dla podkreślenia serdecznych węzłów, które łączą dzisiejszą Czołówkę Teatralną z Y.M.C.A., która pierwsza na emigracji zorganizowała zespół i wysłała go do obozów internowanych żołnierzy w Rumunii.

Po sentymentalnych "piosenkach szczęśliwych dni" odśpiewanych przez Władę, przyszła kolej na humor. Przed tym jednak Budzyński zadedykował na scenie piosenkę, poświęconą dobrej "Cioci Y.M.CI.," co to po zakończeniu ubiegłej wojny hojnie i serdecznie:

". . . do Polski przysyłała
Miód, kakao, cukier, jam
Znał ją żołnierz, znał ją cywil
I wspomina zawsze mile
Dobre serce, które w ciężkich czasach
Pomagało nam.

A w tej wojnie, patrzcie-oto
Jeździ znowu, jest już "moto"
Motorowo-kantynowa
Ćwiczeniowo—k.c.d.
Ma już wiele na swym koncie
Teraz śni o drugim froncie
A więc teatr ma na kółkach
Na Kontynent jechać chce:

Ciocia Imka, ciocia Imka
Deszcze, upał, wichry, słota, czy zadymka
Czy przez Szwecję, czy przez Włochy, czy przez Dieppe
Pójdzie z piosnką aż do Polski
Wioząc miód i chleb."

Po góralsku mówił później Wieszczek, a po warszawsku pana-wiechowym stylem Szczepan, Hausmanowa harmonia "rozśpiewała" widownię, nawet deszcz ustał definitywnie i pogoda zapanowała nad światem.



Pierwsze przedstawienie w cieniu drzew

Od tego dnia inauguracji wysoki, niesłusznie podejrzewany o "wywrotność" wóz muzyczny Y.M.C.A. jeździ niemal bez przerwy po Szkocji. Odwiedził "żniwiarzy" i "kartoflarzy" pomagających gospodarzom przy uprzątaniu zbiorów, był w domu żołnierza w Edynburgu, u inwalidów w szpitalu szkocko-polskim, woził "wesołą piątkę" wileńskich śpiewaków, przybyłych z Rosji do dziesiątków oddziałów wzbudzając niekłamany podziw dla wytrzymałości . . . resorów.

Pełniła też "grająca buda" Y.M.C.A. bardziej "liniową" służbę używana do utrzymywania łączności w czasie większych ćwiczeń wojskowych. Przeskakiwała wtedy mężnie bruzdy i zapadliny szkockich ugorów, przechodząc w ten sposób "zaprawę" do swoich przyszłych zadań, gdy przyjdzie czas ruszyć "za wodę."

W głębi muzycznego wozu Y.M.C.A. na pianinie stoi w ramki oprawna fotografia Paula Supera. W dniu rozpoczęcia pracy wozu złożono tam wiązankę kwiatów, jako dowód wdzięczności żołnierzy. Ale może niedaleka już jest chwila, kiedy trzeba będzie wstawić do wozu dodatkowe krzesełko, na którym zasiądzie pan Paul i ruszy do Polski, jako przednia straż wiernej Imci, "wioząc miód i chleb."

LUDWIK BOJCZUK

Zdjęcia wykonała Sekcja Filmowo-Fotograficzna.

Wóz Muzyczny Polskiej YMCA za czas od 21 sierpnia do dnia 31 grudnia 1942 r.

M-ce	Wykonano Imprez Muz.	Lit.	Muz.-lit.	Razem	Ilość widzów	M.p.	Inne	Pokazy, ćwiczenia
VIII	1	6	5	12	850	8	4	2
IX	12	5	23	40	4185	40	—	1
X	12	14	17	43	3945	43	—	2
XI	6	18*	2	26	2000	22	4	—
XII	10	4	8	22	3325	17	5	—
Razem	41	47	55	143	14305	130	13	5

* *w czym 12 imprez w świetlicach lotniczych Polskiej YMCA*

Suchary zamiast opłatka

/Wigilia Bożego Narodzenia na "Błyskawicy"/

Rok temu pełniliśmy służbę konwojową w północnych obszarach Atlantyku. Jak wiadomo, w okresie zimowym, ta część oceanu nie jest zbyt miła, a żeglugi tam do przyjemnych zaliczyć nie można.

W czasie sztormów, zwały chmur pokrywają niebo, wicher wygwizduje dzikie melodie, wyciskając łzy z oczu i utrudniając obserwację. Szkwały z deszczem, śniegiem lub, co gorsza z gradem, hulają swobodnie, jak gdyby chcąc jeszcze bardziej uprzykrzyć życie znużonej załodze. Szczególniej daje się we znaki grad, dochodzący do wielkości gołębiego jaja i lecący z szybkością kilku, a nawet kilkunastu metrów na sekundę. Pewnego razu, mając na głowie grubą wełnianą kominiarkę i nieprzemakalny kapelusz, tak zwaną "südwestkę," nie mogłem znieść uderzeń gradu i musiałem zasłonić się hełmem.

Gdy ciśnienie barometryczne się podniesie i panuje t.zw. dobra pogoda — fala częstokroć pozostaje nadal przykra. Jedynie siła wiatru spada i widoczność robi się wspaniała. Niebo przybiera piękny, błękitny, jakby śródziemnomorski kolor, pokrywa się z rzadka różnokształtnymi chmurkami, kłębiastymi lub kłębiasto-deszczowymi. Te ostatnie przelatując nad bezmiarem wód, roszą deszczem lub gradem. Czasem taki deszczowy, śnieżny lub gradowy szkwalik przejdzie o kilkadziesiąt metrów, nie dotknąwszy okrętu ani jedną kropelką, ani jednym kryształem. Było by nieścisłością nie wspomnieć o warstwach różnej gęstości mgły, układających się na drodze intruzów-okrętów.

W nocy natomiast, przy bezchmurnym niebie, pięknie świeci Zorza Polarna. Pół nieba pulsuje jasnym drgającym światłem, przedstawiając widok nadnaturalny, jakby wyjęty z bajki rysunkowej.

Prowadzimy konwój do Wielkiej Brytanii — statki z wojskiem. Właśnie na jednym z nich jedzie pierwszy transport ochotników do polskich sił zbrojnych, z Kanady. Wieje sztormowy wiatr i ocean oddycha ciężko, marszczy powierzchnie w potężne bruzdy. Niebo całe zakryte nisko rozsnutymi chmurami, a zamglony horyzont zmniejsza widoczność do paru zaledwie mil morskich. Całość raczej ponura i niegościnna.

Nadomiar wszystkiego złego statek S/S "C" wlecze się niezdarnie i ciągle zostaje z tyłu. Obawiamy się poważnie, że przy tak słabej widoczności możemy go zgubić. Jak się okazało obawy nasze były całkowicie uzasadnione, gdyż po północy stwierdziliśmy brak tego statku. Martwiliśmy się maruderem i wypatrywaliśmy go przez dziesięć godzin, wreszcie ku naszej wielkiej radości, za rufą wyłoniła się z mgiełki sylwetka naszej zguby.

W południe, pogoda zaczyna się jeszcze psuć. Wiatr tężeje, fala rośnie, a dla dobitniejszego upewnienia nas, że jesteśmy na Północnym Atlantyku, przychodzą fale dżdżu, zmniejszające widoczność do zaledwie jednej mili morskiej. W zasadzie wiatr mamy prawie pomyślny i w normalnych pokojowych warunkach, żegluga nie byłaby zbyt przykrą, jednak wobec warunków wojennych, musimy zygzakować i na niektórych kursach podstawiamy się fali, która wówczas kładzie nas na burtę do 40°.

Następnego dnia o świcie, na kursie ukazuje się sylwetka. Alarm bojowy stawia na nogi całą załogę, by godnie przywitać ewentualnego wroga. Za chwilę jednak rozpoznaliśmy kilkadziesiąt statków brytyjskiego konwoju, idących kursem przeciwnym i "odbój" zwolnił wolną wachtę pod pokład.

Niestety S/S "C" i tej nocy zgubił się. Czekamy do południa, sądząc, że dopędzi nas, tak jak dnia poprzedniego. Gdy tym razem, prawdopodobnie wobec znacznie gorszej niż w dniu wczorajszym widoczności, zguba nie zjawiła się, dowódca eskorty — brytyjski kontrtorpedowiec — przekazał nam dowództwo, a sam udał się na poszukiwanie marudera. Odchodząc nadał sygnał: "*Good luck and happy Christmas.*"

Happy Christmas! Właśnie dziś jest Wigilia Bożego Narodzenia. Zastępca dowódcy i komisarz mają poważny kłopot, bo jesteśmy od dłuższego czasu poza naszą bazą i świeży prowiant od kilku już dni wyczerpał się. Zwyczajem okrętowym w tym uroczystym dniu należało by poczęstować załogę wystawną wieczerzą, ale i Salomon nic nie "naleje" z prowiantury zaopatrzonej tylko w konserwy i to w niezbyt obfitej ilości.

Ze zmrokiem wolna wachta zasiadła do stołów na swych pomieszczeniach. Na każde pomieszczenie udał się jeden oficer, by reprezentować dowódcę, który, mając na swej odpowiedzialności bezpieczeństwo konwoju i własnego okrętu, nie może sobie pozwolić na opuszczenie pomostu. Jedynie ze swej kabiny, przez rozgłośnię okrętową, dowódca wygłosił przemówienie wigilijne i złożył załodze życzenia szczęścia i szybkiego powrotu do swych rodzin. Wzruszyła się brać żeglarska słowami dowódcy i każdemu zrobiło się rzewnie, na wspomnienie, jak to bywało dawniej. Przecież to już nie pierwsza Wigilia poza domem i Krajem.

W wyniku narad zastępcy dowódcy z komisarzem, przy wydatnym oczywiście udziale kucharza — na pomieszczenia wniesiono wieczerzę wigilijną: bigos, herbatę z rumem i suchary. Dla zadośćuczynienia tradycji, w braku opłatka przełamano się sucharami, jako że są przaśne, spożyto skromny posiłek, zamieniono parę słów, temu i owemu wyrwało się z piersi głębokie westchnienie i — czas na wachtę, gdyż zmarznięci i przemoknięci koledzy niecierpliwie czekają na zmianę.

Mam wachtę na pomoście. Napróżno przebiegam wzrokiem dookoła horyzontu w poszukiwaniu choćby jednej gwiazdki. Niskie gęste chmury, na moment rozchyliły się, pokazały sierp księżyca i znów zaciągnęły na dobre. Tylko wiatr stopniowo zaczyna słabnąć i ocean się uspakaja, jakby w ten wieczór pojednania nie ośmielał się nam uprzykrzać służby. "Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli."

Właśnie przypomniało mi się, jak wychodząc z kabiny na wachtę, podniosłem z biurka trzy broszurki, które spadły z półki podczas przechyłów okrętu. Kupiłem je, będąc na ostatnim krótkim urlopie, zaciekawiony jakie też zagadnienie porusza nasza publicystyka. Nie udał mi się zakup. Każdy z trzech autorów zieje zjadliwością, siląc się by dotkliwiej dokuczyć swemu przeciwnikowi, reprezentującemu odrębny pogląd na sprawę. W rezultacie, dla mnie, jako neutralnego czytelnika, pełniącego swą ciężką służbę na morzu i nie mającego czasu na zgłębianie przyczyn rozbicia się naszej emigracji na kilka nieprzyjaznych sobie ugrupowań, jedna broszurka wygląda niepoważnie, druga jest złośliwa, a trzecia wręcz ordynarna. Biedny czytelnik, który nie posiada wyrobionego poglądu na sprawę, może oszaleć, a już wyobrażam sobie naszych gościnnych gospodarzy — Brytyjczyków, którzy mało nas znając, niewątpliwie wyrabiają sobie o nas nieszczególną opinię.

Przeszło mi przez myśl, że w grę wchodzi tu nadmiar tego, czego mnie i moim kolegom brak — a mianowicie nadmiar czasu. Gdyby tak pieniacko nastrojeni szanowni rodacy popełnili służbę wachtową na dwie zmiany, w ciężką, sztormową, północnoatlantycką pogodę, przerwali kilka razy na dobę krótki wypoczynek jakimś alarmem, a w Wigilię Bożego Narodzenia przełamali sie sucharem zamiast opłatka, może by nauczyli się współpracy, stali się też — ludźmi dobrej woli. I głosili chwałę Boga na Wysokościach, a nie naruszali spokoju tych, co dziś na morzu, lądzie i w powietrzu pełnią odpowiedzialną a uciążliwą służbę, nie dla ludzi ani dla orientacji, ale — dla POLSKI.

JERZY SZULAK

Panie Redaktorze!

Ponieważ nie umiem po polsku tak dobrze by, móc napisać długi list do wszystkich naszych polskich Przyjaciół jak bardzo są nam drodzy i bliscy dlatego list ten będzie krótki.

Jestem zawsze pełna podziwu dla dzielnych dzieci polskich tak osamotnionych i chwilowo bez własnej Ojczyznej i cierpiących tak wiele. Niech ten najskromniejszy dar jaki załączam będzie przesłany dla polskich dzieci na Bliskim Wschodzie, za co uprzejmie dziękuję.

Załączając M.O. na sumę dwa funty prosimy uprzejmie Pana Redaktora o włączenie tych pieniędzy do funduszu na powyższy cel.

Elżbieta K. Ashby

* * *

Will you please find enclosed the sum of sh.5 for the relief of Polish Children in Russia. We received the gift for Christmas from Mr. and Mrs. Jones, Bradford, with warmest thanks.

Edward—Franek

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę £11.12.7 złożoną przez podoficerów i szeregowców III. Dyonu . . . P.A. Mot. w mies. styczniu b.r. z przeznaczeniem na Pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu major J.W.

* * *

Marynarz pokładowy L.L. na Pomoc dla Polaków w Rosji £3.0.0.

* * *

W załączeniu przesyłam 2 przekazy pieniężne na łączną kwotę £5.0.0 /pięć funtów/ którą otrzymałem od p. Anny Urbankowej, prezeski Klubu Koła Pań Polskich w Jersey N.Y., U.S.A. do mojej dyspozycji.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,510

Kwotę powyższą przeznaczam na Fundusz pomocy Polakom w Rosji.

Kpt. J.S.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. mjra Bieńkowskiego Franciszka oficerowie Wojskowego Instytutu Geograficznego przeznaczają na Pomoc Polakom w Rosji £3.18.0 /trzy funty 18s./.

Money Order na powyższą kwotę dołącza się. /N.44778/

Polish Forces P/70

W załączeniu przesyłam £2.15.0, zebranych przez pacjentów szpitala z okazji pożegnania Komitetu "SEFA," który pracował w tut. szpitalu — z przeznaczeniem na Polaków w Rosji.

Oficer Oświatowy,
WŁB. ppor.

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę sh. 10 ur pomoc dla Polaków w Rosji jako nieprzyjętą przez ks. kapelana Warakomskiego ofiarę za odprawioną dnia 3.II.43 żałobną mszę św. za duszę ś.p. kolegów z 1. komp. Szkoły Podch. którzy niedawno zginęli po storpedowaniu statku przez niemieckie łodzie podwodne na Atlantyku.

Msza św. została odprawiona z inicjatywy uratowanych w tej katastrofie kolegów.

/cztery podpisy/

* * *

W załączeniu przesyłam d.10 w znaczkach pocztowych za nadesłane numery "Polski Walczącej."

ppor. G.O.

* * *

W załączeniu przesyłam czek na £7.0.0

Z poważaniem

por. WłR.

* * *

"ŁAŃCUCH OFIAR"

Przekazuję do "Łańcucha Pomocy Polakom w Rosji" kwotę £2.2.0 złożoną na powyższy cel przez III. pluton I. Kompanii Saperów.

Oficer oświatowy pchor. B.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £38.3.5 /słownie trzydzieści osiem funtów, trzy szylingi i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £7,510.5.5½ /słownie siedem tysięcy pięćset dziesięć funtów, pięć szylingów, pięć i pół pensa/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Redakcja "Polski Walczącej,"

Potwierdzam odbiór 143 egzemplarzy książek, które Redakcja przysłała jako dar czytelników "Polski Walczącej" dla naszych żołnierzy znajdujących się na Środkowym Wschodzie. Wszystkim ofiarodawcom jak również Redakcji "Polski Walczącej" składam za powyższy dar serdeczne podziękowanie.

Doniosłości inicjatywy tej nie potrzebuję specjalnie podkreślać. Mimo, że ostatnio na Środkowym Wschodzie wszczęto druk książek polskich na dość znaczną skalę, to jednak potrzeby kulturalno-oświatowe naszych kolegów-żołnierzy są tak duże, że każda książka polska przysłana z Wielkiej Brytanii na Środkowy Wschód stanowi dla nich wielką wartość.

Wierzę, że apel "Polski Walczącej" znajdzie szerokie echo wśród wszystkich naszych żołnierzy znajdujących się w Wielkiej Brytanii.

Jednocześnie zaznaczam, że nadesłane książki zostaną wysłane najbliższym transportem do Dowództwa Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie.

Szef Wydziału
Prac Kulturalno-Oświatowych

* * *

Dr. Długosz H. przesłał dla Żołnierzy na Wschodzie: "Polski śpiewnik narodowy." — "Kolędy." — "Basic English for Polish Students." — Wyspiański: "Wesele."

* * *

Bezimiennie: "Wybór pism i autobiografia" — Stanisława Thugutta /2 egz./

Anonimowy dar: "The Greatest People in the World" — by Flying Officer "X." "Modern Battle" — Major Paul W. Thompson. "Ursula Vivian" — Annie S. Swan. "Sum the Sudden" — P. G. Wodehouse. "The English Digest," June, 1942. "Readers Digest," March, 1942, i December, 1939. "Grammaire de la Langue Anglaise" — J. McLaughlin. "Memoires d'un Grenadier Anglais /1791-1867/" — William Lawrence. "Pan Tadeusz" — Adam Mickiewicz.

* * *

Dnia 1 lutego otrzymaliśmy od Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych list zawiadamiający o wysłaniu do Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie transportu książek zebranych przez czytelników "Polski Walczącej" w ilości 179.

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 210 książek.

NA URATOWANE ZIARNA

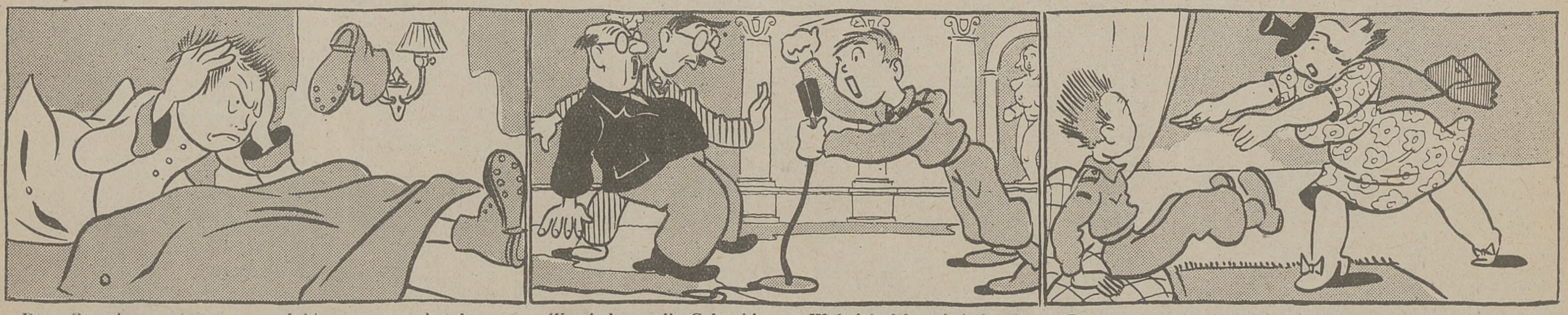
/Patrz Polska Walcząca z dnia 16. stycznia 1943 r./

W załączeniu przesyłam czek na £6 jako zwrócony dług kpt. pil. K. z RAF Station N.—na pomoc junakom z Rosji.

Oficer Oświatowy

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: RYSZARD POBÓG *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Rano Pompka za głowę
Nieustannie się chwytał,

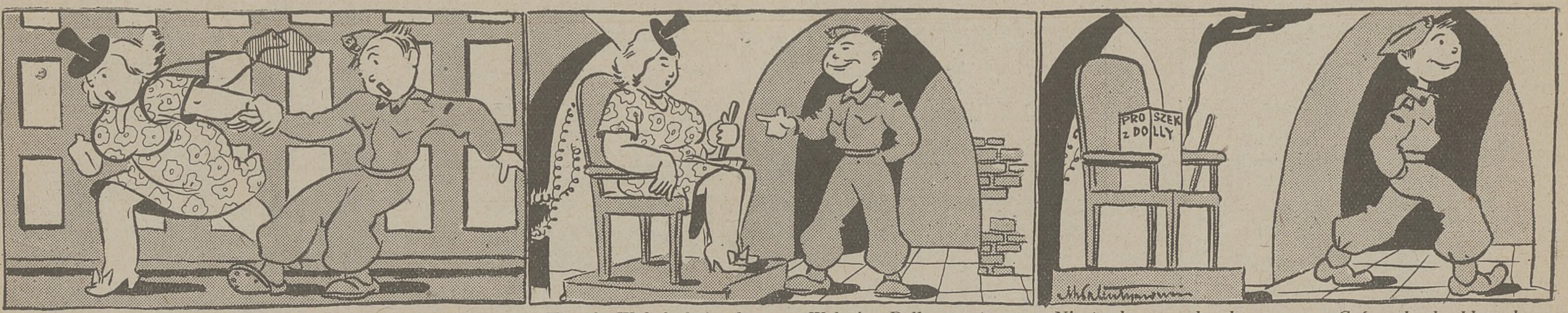
Jakby w nocy w hotelu
Całą biblię przeczytał.

Wywiad w radio Columbia
Też go nie mógł ominąć —

Waluś krótko oświadczył:
Pragnę walczyć i zginąć!

Potem przyszła do niego
Dolly /chrzestna mamusia/,

Niespodziankę — ryknęła —
Mam dla mego Walusia.



Pojdziesz ze mną—orzekła—
Żołnierzyku, perełko,

Obejrzymy najnowsze,
Elektryczne krzesełko!

Krzesło Waluś obejrzał,
Wszystko sprawdził i zbadał,

W końcu Dolly zapyta,
Jak na krześle się siada?

Nic trudnego—odparła—
Siadam, sprzęgło podnoszę . . .

Coś psyknęło, błysnęło—
No i z Dolly był proszek.

PRACOWNIA MALARSKA

Fundusz Kultury Narodowej uruchomił w Londynie pracownię dla polskich artystów i dla b. studentów polskich uczelni artystycznych, stale lub czasowo przebywających w Londynie.

Pragnący korzystać z pracowni i modela winni się zgłosić do Henryka Gotliba, 51, Upper Park Rd., N.W.3 /stacja kolei podziemnej: Belsize Park/ tel: PRImrose 0411.

Zagrobelny Stanisław, Box 260/29 G.P.O. London, E.C.1, przybyły z Rosji poszukuje adresów, względnie miejsc pobytu następujących osób:

Zofji Żarczyńskiej z domu Nowak, ur. 1916 r. ostatnio widzianej w Teheranie,

swoich dzieci: Krystyny, Edwarda i Daniela Zagrobelnych /lat 10, 8 i 6/ ostatnio w sierocińcu Obozu Cywilnego Teheran.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Kto z Polaków przybyłych z Rosji może udzielić mi informacji o moim ojcu: **A. ZYLBERSZLAKU**, z zawodu fotografie, pochodzącym z Sosnowca, a ostatnio zamieszkałym w Chorzowie. Po wybuchu wojny zbiegł do Lwowa, a następnie ewakuowany w czerwcu 1940 r. wgłąb Rosji.

Miał się znajdować w Krasnouralsku przy wyrąbie lasów. Osoby mogące udzielić informacji proszone są o łaskawe zwrócenie się pod moim adresem: **LEO SILVER**, Box 452, **BULAWAYO**, Southern Rhodesia, Africa.

Wszelkie koszta z podziękowaniem pokryję.

* * *

Osoby, które się zetknęły na terenie Rosji lub Iranu z **JADWIGĄ BATKO** ze Lwowa, proszone są a łaskawe przekazanie informacji pod adresem: Stanisław **BATKO**, 83, Mortlake Rd., Kew, Richmond, Surrey, England.

* * *

Kto z rodaków przybyłych z Rosji mógłby udzielić mi informacji o mojej żonie **PAULINIE REITER**, wywiezionej z Tarnopola w maju 1941 r. z trojgiem dzieci do Rosji /prawdopodobnie Omska Obłast/, proszony jest o łaskawe doniesienie mi pod: P/76 B., Józef Reiter.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.